

Goniec Łukowej

Biuletyn Gminnego Ośrodka Kultury w Łukowej



Msza św. za poległych w bitwie (cmentarz partyzancki w Osuchach, lata 50-te XX w., czasie tzw. odwilży

Tatusiu mój kochany
Ty śpisz pod Osuchami
My Ciebie dzisiaj
wszyscy z honorem wspominamy.

Wierzmy, żeś bohater
I dzielnie wroga bił
Oddałeś młode życie,
by kraj nasz wolny był.

Z liści dębowych wianek
I białej róży mam
Ale Twojej mogiły
Nigdy ja nie poznam.

Zapytam wiatru w lesie
Co szepcze pacierz swój
„Powiedz mi mój wietrzyku,
Powiedz gdzie leży Tatuś mój”?

Ale tej twojej mowy
Zrozumieć ja nie mogę
Jakże w tym ciemnym lesie
Do Taty znajdę drogę?

Więc ciebie proszę wietrze
Co wiesz, gdzie Ojca grób
Zanieś mu moje słowa
Taką mi łaskę zrób.

„Śpij Tatusiu w ciemnym grobie
Niech się Polska przyśni Tobie
Polska piękna i wspaniała
Krwia i łzami złana cała”

Wiersz ten powiedziała na cmentarzu w Osuchach w 1-szą rocznicę bitwy 6-letnia wówczas Maria Nowacka - Lekan z Biłgoraja, córka Stanisława Nowackiego ps „Aeroplan” z oddziału „Corda”

Program uroczystości patriotyczno-religijnej 68. rocznicy bitwy partyzanckiej pod Osuchami.

Osuchy, 24 czerwca 2012 r.

9.30 - występ Orkiestry Wojskowej Garnizonu Lublin

10.00 - otwarcie uroczystości przy Domu Pamięci w Osuchach (meldunek zgodnie z ceremoniałem wojskowym i powitanie gości)

10.15 - uroczysta Msza św. za poległych w bitwie pod Osuchami

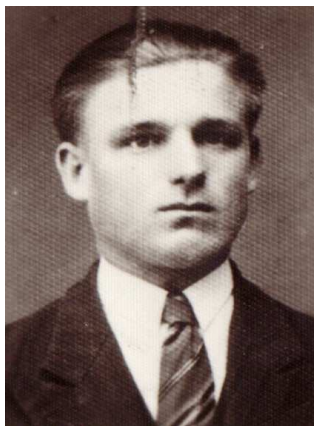
11.15 - wystąpienia okolicznościowe i wręczenie nagród finalistom XIII Powiatowego Konkursu o AK i BCh na Ziemi Biłgorajskiej

12.00 - przemarsz na cmentarz partyzancki - apel poległych i złożenie wieńców

13.00 - inscenizacja historyczna w wykonaniu grup rekonstrukcji historycznych

- Koncert Patriotyczny „Osuchy 2012” - spotkanie z żyjącymi uczestnikami bitwy.

SZEREGOWY PARTYZANT



Franciszek Blicharz
ps. „Szpada”, oddz. AK
„Corda”

F Franciszek Blicharz ps. „Szpada” urodził się 15.04.1924 roku w Rogalach w powiecie biłgorajskim. Pochodził z wielodzietnej rodziny chłopskiej. Mając 7 lat zaczął uczęszczać do szkoły podstawowej w Majdanie Księżpolskim. Dorastał w atmosferze kampanii wrześniowej 1939 roku i rodzącego się na Ziemi Biłgorajskiej ruchu oporu.

W 1943 roku stał się żołnierzem Armii Krajowej w oddziale „Corda” por. Józefa Steglińskiego. Zaczął uczęszczać na zebrania i szkolenia. W maju 1944 roku poszedł na placówkę. W trakcie niemieckiej akcji „Sturmwind II” znalazł się wraz z oddziałem „Corda” w niemieckim okrążeniu, które zakończyło się bitwą pod Osuchami. Oto jak wspomina tamte dni:

„Z 24 na 25 czerwca maszerowaliśmy całą noc. Doszliśmy pod wioskę Osuchy. Tutaj patrol naszego oddziału ujął patrol niemiecki. Nasze dowództwo było zorientowane o liniach niemieckich. Od „Corda” otrzymaliśmy rozkaz jak najcichszego marszu w kierunku linii niemieckich. Po pewnym czasie Niemcy otworzyli ogień w naszym kierunku. Teren oświetlili raketami i strzelali święcącymi kulami z broni maszynowej. Mimo tej przerażającej strzelaniny czołgaliśmy się w stronę niemieckich pozycji. Otrzymaawszy rozkaz otwarcia ognia ruszyliśmy do szturm. Było to przerażające, wkoło słychać było jęki rannych proszących o pomoc. Niemcy



Na zdjęciu widoczny uraz prawej ręki

nie wytrzymali naporu naszego ognia, w ich linii zrobiła się luka. Obok słyszałem „Corda” wydającego rozkazy. Przebiegłem przez linię niemiecką, którą Niemcy szybko zacisnęli. Za linią nie widziałem nikogo z naszego oddziału. Spotkałem cywila, który mimo iż miał karabin, nie strzelał. Zapytałem go, gdzie są nasi, a on skierował mnie na gniazdo karabinu maszynowego niemieckiego. Szybko poszedłem w tym kierunku, ale okazało się, że zostałem źle poinformowany, gdyż był to okop niemiecki, w którym było czterech Niemców. Znalazłem się w trudnej sytuacji. Jeden z nich wymierzył do mnie z pistoletu. Po spuszczeniu iglicy broń nie wypaliła. Szybko skoczyłem do ucieczki, lecz po przebiegnięciu kilku kroków zostałem tra-

fiony w prawą stopę, a następnie w prawą rękę. Ale udało mi się uciec. Po przebyciu drogi Józefów - Osuchy i lasu znalazłem się na łąkach, przez które przepływała rzeczka (której nazwy nie znam). Za rzeczką pod lasem była znowu niemiecka linia, więc wycofałem się z powrotem przez rzeczkę do skraju lasu i tam w bagnach przeleżałem trzy i pół doby mając przed sobą niemiecką linię. Po trzech dobach Niemcy linię zdjęli. Ruszyłem w drogę. Napotkałem kilku partyzantów, którzy mnie zatrzymali. Jeden z nich zaprowadził mnie do Aleksandrowa, nazywał się Paluch. Z Aleksandrowa nocą poszedłem lasem do Smółska, a ranną rękę i nogę okłada-

łem liśćmi olchowymi i własną bielizną. Dotarłem do Smółska Małego jeszcze przed wschodem słońca i tam u Piotra Górniaka pozostałem, podczas kiedy Górniak pojechał na Brodziaki po opatrunek. Po powrocie oczyścił i obandażował moje rany, a następnie jego żona poinformowała rodzinę o moim powrocie. Przyjechał ojciec i zabrał mnie do domu na Rogale, a stamtąd do szpitala w Biłgoraju, gdzie dr Stanisław Pojasek udzielił mi pomocy lekarskiej i poradził, abym na pytania odpowiadał, że spadłem z drzewa na płot zrywając wiśnie i w ten sposób zламаłem rękę i pokaleczyłem się”.

W szpitalu przebywał od 1 lipca 1944 roku do 26 lipca 1944 roku. Ze względu na brak miejsc został wypisany

REDAGUJE:

Wiesława Kubów
Natalia Kurowska
Maria Działo
Lucyna Paluch
Skład: Paweł Kozyra

WYDAWCA

Gminny Ośrodek
Kultury w Łukowej
ADRES

Gminny Ośrodek
Kultury w Łukowej
23-412 Łukowa
tel. 84 687 4060
gokluk1@wp.pl
www.lukowa.pl
NS-REJ. PR 86

do domu, dalej leczony był ambulatoryjnie. Prawa ręka pozostała niepełnosprawna, dlatego do roku 1948 przebywał z rodzicami. W 1948 roku podjął pracę w Klinkierni w Markowiczach, gdzie poznał swoją przyszłą żonę Janinę Ostasz z Aleksandrowa. W 1951 roku przeprowadził się do Biłgoraja podejmując pracę w Włosiankarskiej Spółdzielni Pracy, Spółdzielni Inwalidów „Rozwój” i Spółdzielni Inwalidów „Promień” oraz MHSI Zamość. Znalazł się w gronie jej założycieli i pierwszych pracowników. Tu pracował do emerytury. W 1991 roku został awansowany na stopień starszego sierżanta.

Zmarł 23 stycznia 1996 roku. Pochowany został na cmentarzu przy ul. Lubelskiej w Biłgoraju.

Za swoją działalność został uhonorowany wieloma odznaczeniami:

- Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski,
- Złotym Krzyżem Zasługi,
- Krzyżem Partyzanckim,
- Krzyżem Armii Krajowej,
- Brązowym Medalem za zasługi dla Obronności Kraju,
- Odznaką Weterana Walk o Niepodległość,
- Brązową Odznaką Honorową Zasłużonego Działacza Związku Inwalidów Wojennych.

Jerzy Blicharz syn Franciszka Blicharza

SPOTKANIE PO LATACH

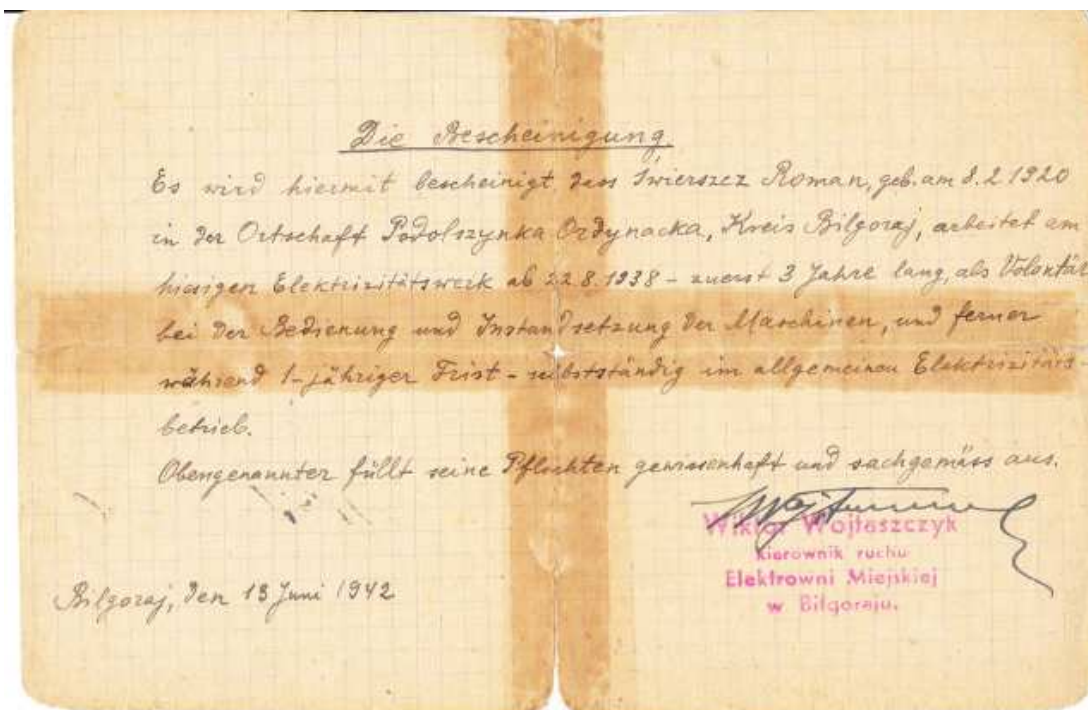


Roman Świerszcz (z lewej) ze Stanisławem Mazurem

Pod koniec marca 2012 roku zadzwoniła do mnie koleżanka Agnieszka Tomaszewska pracująca w BCK w Biłgoraju z rewelacyjną informacją. Skontaktował się z nią pan Roman Świerszcz żołnierz oddziału AK Józefa Steglańskiego „Corda”. Radość była wielka, bo przecież tak niewielu już ich zostało. Umówiliśmy się telefonicznie na spotkanie w Biłgoraju, gdyż pan Roman koniecznie chciał zobaczyć miasto, w którym spędził całą okupację hitlerowską. W Biłgoraju nie był od 1945 roku. Liczył również na to, że zobaczy kogoś z dawnych znajomych i kolegów. Miasta zupełnie nie rozpoznał, gdyż wszystko wygląda teraz inaczej niż w latach jego młodości. Jego znajomi i koledzy poumierali. Tym większa była radość, gdy okazało się, że żyje pan Stanisław Mazur „Wrzos”, z którym pracował w miejskiej elektrowni. Ich spotkanie

było pełne wspomnień i wzruszeń. Poznaliśmy okupacyjne losy pana Romana.

Urodził się 8 lutego 1920 roku w Podolszynie w gminie Krzeszów koło Biłgoraja. Jego rodzice Michał Świerszcz i Katarzyna z domu Jaśkowska trudnili się rolnictwem.

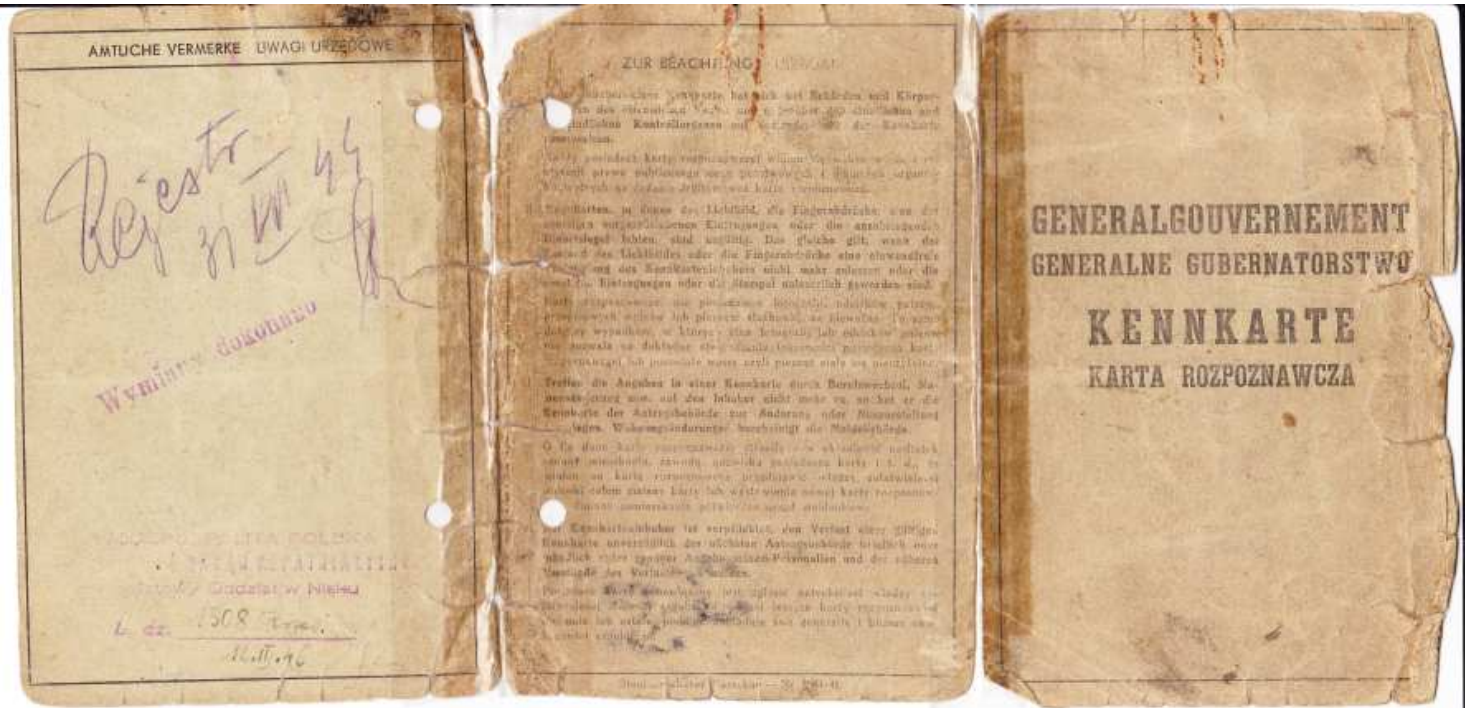


Dokument okupacyjny Romana Świerszcza

W 1927 roku podjął naukę w siedmioklasowej Szkole Powszechniej w Kamionce Górnej. W 1937 roku zaczął uczęszczać do szkoły zawodowej w Biłgoraju i podjął naukę zawodu w elektrowni miejskiej, w której wkrótce otrzymał posadę elektromaszynisty. Do działalności konspiracyjnej zwerbował go Michał Kochmański „Gryf”. W maju 1943 roku wstąpił do AK i przeszedł podstawowe szkolenie wojskowe prowadzone przez Józefa Steglińskiego „Corda”. Pełnił rolę jednego z łączników. Początkowo dostarczał do oddziału podziemną prasę, broń, amunicję i żywność. Pod konspiracyjnym pseudonimem „Kruk” uczestniczył w akcji bojowej podjętej w obronie

wysiedlanej ludności cywilnej powiatu biłgorajskiego. Wiosną 1944 roku przeszedł ponownie przeszkolenie bojowe w oddziale „Corda”. W czerwcu tego roku zgłosił się do oddziału „Corda” w związku z ogłoszoną mobilizacją w rejonie Biłgoraj. Brał udział w walkach w Puszczy Solskiej i szczęśliwie przetrwał niemieckie okrażenie. Chcąc uniknąć przesładowań ze strony bezpieki w 1945 roku wyjechał do wsi Pilce na Dolnym Śląsku. W 1946 roku podjął pracę w PKP w Kamieńcu Ząbkowickim jako elektromonter, gdzie doczekał się emerytury. Po latach wrócił bliżej rodzinnych stron. Obecnie mieszka w Nowej Sarzynie.

Maria Działo



Dokumenty okupacyjne Romana Świerszcza

DZIECI CZASU WOJNY

WSPOMNIENIA MIESZKAŃCA ŁUKOWEJ - KS. WŁADYSŁAWA KOWALIKA

Zbliża się kolejna rocznica pacyfikacji Łukowej. Coraz mniej żyje świadków tamtych wydarzeń. Wielu dawało świadectwo na szpaltach miesięcznika „Goniec Łukowej”. Z racji przeżywanego w tym roku jubileuszu 50-lecia swego kapłaństwa postanowiłem spisać swoje przeżycia, które jako dziecko 5-letnie doświadczyłem wraz z całą moją rodziną. Wspomnienia te są wrywkowe, takie, które utkwiły małemu dziecku w głowie.

Zacznę od wydarzenia bolesnego, które przytrafiło się siostrze tak na kilka dni przed wywózką na Majdanek. Była niedziela, przebywałem z siostrą na podwórzu. W pewnym momencie wyszła Mama z domu i zawołała: „Dzieci chodźcie do domu, bo idziemy do kościoła”. Wtedy biegnąc do domu przeskoczyłem deskę, która przykrywała ściółkę z lasu złożoną przy ścianie obory. Siostra tak nieszczęśliwie stąpnęła na deskę, że pośliznęła się na niej, bo była mokra po deszczu i wówczas złamała sobie nogę w łydce. Tragedia. Zamiast do kościoła, rodzice szukali człowieka, który potrafiłby złożyć złamaną kość i usztywnić nogę do kolana w tzw. „łupkach” (cienkich deseczkach owiniętych bandażem). W takiej sytuacji

rodzinnej zastał nas rozkaz pacyfikacji i zgromadzenia się przed kościołem. Ile dodatkowego umęczenia i lęku o los swój i nas dzieci mieli rodzice przeżywając wysiedlenie i pobyt na Majdanku, a potem wywózkę do Niemiec na przymusową robotę – to tylko oni wiedzą, my możemy sobie dziś tylko wyobrazić.

W pamięci dziecka zostało zakodowane; wielki tłum ludzi przed kościołem, potem wsiadanie na samochód ciężarowy, okryty plandeką. Samego wsiadania nie pamiętam, ale widzę dziś przed oczyma stłoczonych ludzi na samochodzie. Mama usiadła przy barierce tylnej, zamykającej przestrzeń samochodu, trzymając siostrę ze złamaną, usztywnioną nogą na swych kolanach, by dziecko mogło troszkę wygodniej podróżować. Obok stało dwóch wojskowych Niemców z karabinami, pilnowali ludzi. Kiedy samochód ruszył w nieznaną drogę, wszyscy ze szlochem płaczu żegnali swoją miejscowość.

Pamiętam, że początkowo jazda samochodem, wydawa-

ła mi się atrakcją, stąd miałem wesołą twarz i minę. Ale widok płaczących spowodował zmianę mego samopoczucia na smutne.

I tak przybyliśmy na Majdanek. Drogę do obozu i pierwsze spotkanie z obozową rzeczywistością przeżyliśmy całą gromadą z ludźmi. Siostra Fela była niesiona przez rodziców i dobrych ludzi, którzy splatając sobie ręce tworzyli „nosidło”. Tak dotarliśmy na plac obozowy.

Pierwsze zapamiętane wydarzenie to przejście przez tzw. łaźnię. Barak, u góry przy suficie prysznic. Ludzie rozebrani do naga przechodzili do łaźni. Nie było to mycie się, lecz przemarsz poganiany przez Niemców, ze zmieniającym się strumieniem wody. Raz zimny, ostry strumień uderzał człowieka, a za chwilę gorąca woda powodowała szok ludzi, płacz dzieci, pisk niewiast, kobiet.

Dziś, ile razy jestem na Majdanku i przechodzę obok baraku z napisem łaźnia – słyszę pisk i swój płacz odczuwam.

W obozie koncentracyjnym na Majdanku przebywałem około miesiąca. Ojciec chodził codziennie do pracy obozowej gdzieś poza obóz, a my

dzieci z Mamą byliśmy przetrzymywani w obozie na placu i w baraku na 5-tym polu obozowym przeznaczonym na pobyt dla ludzi z powiatu biłgorajskiego i innych przywiezionych po pacyfikacji z naszych stron i okolic.

Sceną, którą doskonale pamiętam, była moja prośba obsługujących o chleb, tych, którzy rozwozili jedzenie dla ludzi zgromadzonych na placu przed barakiem. Gdy podjechała tzw. kuchnia, by rozdawać posiłek – sam płacząc i grymasząc z głodu usłyszałem jak mówi do mnie Mama - „Idź i poproś o chleb”. Wyszedłem z tłumu i powiedziałem do tych ludzi, trzymając ręce splecione na głowie - „Dajcie mi chleba”. I o dziwo, jak to mogło się stać nie rozumiem do dziś, jeden z obsługujących podał mi odrobinę chleba. Gdy wróciłem, Mama podzieliła chleb między nas dzieci mówiąc: „Powoli jedzcie, aby Wam na dłuższą wytrzymałość”. Dziś wiem dlaczego powoli – aby zagłuszyć głód. Pamiętam też smak tzw. zupy ugotowa-



Pierwszy od prawej Władysław Kowalik z rodzicami i siostrą (Łukowa lata powojenne)

nej na liściach buraczanych, na owsianych plewach, które trzeba było nieustannie wypluwać.

Takie warunki dla dzieci na dłuższą metę były nie do zniesienia. Stąd skrócono pobyt na Majdanku i wywózka całej rodziny wraz z innymi więźniami był dla nas ratunkiem. Dał Bóg, że złamana kość w łydce u siostry zrosła się dobrze i do dziś nie ma po tym złamaniu żadnej skazy i uszczerbku.

Wywiezieni do Niemiec na przymusowe roboty, dostaliśmy się na gospodarstwo rolne Niemca, gdzie rodzice i starsze rodzeństwo; brat Jan i siostra Maria pracowali. Ja z siostrą Felą przebywaliśmy sami w domu. Było to w miejscowości Stradow, powiat Calau, województwo Cottbus w Brandenburgii.

Gdy linia frontu przybliżała się do Berlina, do naszej miejscowości wkroczyła Armia Radziecka. Żołnierze radzieccy pozwolili nam wracać do kraju. Ojciec przygotował wóz konny, znalazł konia z odparzoną pierś, który nie był przydatny dla wojska. Po przygotowaniu maści do smarowania zranionej piersi konia, gdzie było widać mięso, bo nie było skóry i podłożeniu małych poduszeczek „jaśków” pod uprzęż konia, wyruszyliśmy w drogę powrotną do kraju, do Łukowej.

Po drodze byliśmy rewidowani i zatrzymywani przez wojsko. Kazano nam wykonywać prace na rzecz frontu np. reperować mosty.

Zatrzymując się na noc w jakichś miejscowościach mieli rodzice różne, nieprzewidziane przygody. I tak, dom i gospodarstwo puste, więc wydawało się, że można zanocować, odpocząć. Gdy wchodzimy, naraz ktoś ucieka na strych i chowa się. Bywało, że on się bał nas, a my baliśmy się jego, bo nie wiadomo, czy to ktoś z właścicieli się ukrywał, czy jaki szabrownik – złodziej. W takich sytuacjach woleliśmy opuścić to gospodarstwo.

I tak noga za nogą powoli dojechaliśmy do Łodzi. Tutaj nastąpiła wymiana konia na młodego, ale jak się później okazało przestraszonego, wycofanego z linii frontu. Na każdą wyrwę w drodze reagował odskokiem w bok, co powodowało częste złamanie dyszla lub wywrócenie wozu z nami wszystkimi. Przejazd przez tory kolejowe możliwy był tylko po nałożeniu koniowi nakrycia na łeb. I z takimi przygodami, zbliżaliśmy się do Łukowej. Pamiętam, że rodzice później powtarzali, że na Zielone Świąta, które wypadały w 1945 roku pod koniec maja wróciliśmy do domu. Zastaliśmy budynki gospodarcze i dom mieszkalny w dobrym stanie. Czuwali nad dobytkiem dobrzy sąsiedzi i rodzina. Ponadto podczas wojny zamieszkali u nas uciekinierzy z Poznania. Pamiętam jak przychodzili nas powitać i odwiedzić sąsiedzi i rodzina. Przynosili różne produkty żywnościowe, abyśmy mieli na początek coś do jedzenia. Jakie to szlachetne i solidarne.

Dziś po latach, jako dziecko wojny, Majdanka i poniewierki tułaczkiej dziękuję Bogu za przetrwanie tamtych lat, za rodziców, którzy przeżywali lęk o siebie i o nas, za ich wytrwałość i trud i za moje powołanie kapłańskie, za wszystkich dobrych ludzi, którzy nas w czasie wojny i potem mnie w posłudze kapłańskiej wspomagali.

Dziś jako kapelan byłych więźniów Majdanka, pracując z Towarzystwem Opieki nad Majdankiem modlimy się w Lublinie w rocznicę wyzwolenia obozu co roku 23 lipca oraz podczas obchodzonych we wrześniu Dni Majdanka za zmarłych i pomordowanych, za żywych świadków tamtych dni. Modlimy się o zgodę między narodami, pokój i bezpieczeństwo dla Ojczyzny, o rozwój duchowy i materialny każdego człowieka.

Ks. Władysław Kowalik



Ksiądz kan. W. Kowalik jako kapelan byłych więźniów Majdanka podczas spotkania z Żydami na terenie obozu (Lublin, 23 lipca 1991 r.)



Msza św. na Majdanku koncelebrowana pod przewodnictwem JE Ks. Bpa Józefa Życińskiego (trzeci od prawej Ks. W. Kowalik, Lublin 2003 r.)

DZIECI CZASU WOJNY

WSPOMNIENIA JOANNY ŁABANOWICZ Z D. HERC Z JÓZEFOWA



Joanna Herc – 11 lat (Józefów, 1943 r.)

Z lat mojego dzieciństwa zachowałam po dzień dzisiejszy bardzo wiele wspomnień o wydarzeniach z lat hitlerowskiej okupacji w Józefowie. Bogactwo moich wspomnień zawdzięczam przypadkom, które sprawiły, że widziałam wojnę taką jakiej najczęściej nie widzieli moi rówieśnicy. Wspomnienia moje składają się z większych lub mniejszych epizodów i osadzone są zawsze w Józefowie lub jego okolicach.

We wrześniu 1939 roku miałam 7 lat. Ale zamiast iść do szkoły powędrowałam z rodzicami do schronu. Rodzina moja składała się z siedmiu osób. Ojciec Krystian Herc (54 lat) był piekarzem i właścicielem piekarni w Józefowie. Mama Paulina Herc (46 lat) zajmowała się domem i dziećmi oraz sprzedażą w sklepie. Najstarszy brat Edward (25 lat) odsłużył już wojsko i pracował z ojcem w piekarni. Młodszy brat Krystian (16 lat) starał się o przyjęcie do szkoły morskiej. Starsza siostra Marianna (12 lat) chodziła do piątej klasy szkoły podstawowej, a ja Joanna miałam iść do pierwszej klasy. Najmłodsza siostra Lucyna miała dopiero 5 lat.

Szybkimi krokami zbliżała się wojna. Ludność Józefowa zabezpieczała swój dobytek w piwnicach, schronach i szykowała się do opuszczenia miasta. Również i moja rodzina szykowała się do przeniesienia gdzieś na sąsiednią wieś. Z pewnością by to nastąpiło gdyby nie moja nagła choroba.

Na początku lipca 1939 r. pojechałam z ojcem do Aleksandrowa zaopatrzyć tamtejsze sklepy w pieczywo. Był ładny i ciepły dzień. Gdy wracaliśmy do domu, rozszalała się burza. Nakryliśmy się z ojcem plandeką i tak podążaliśmy do domu. W czasie jazdy siedzenie, na którym siedziałam z ojcem przechyliło się w moją stronę i ojciec opierał się o mnie a ja nogą uderzałam o drabinki furmanki. Skutki tych uderzeń okazały się dla mnie fatalne. Noga zaczęła mi puchnąć i bardzo boleć, nie mogłam chodzić a zbliżała się wojna.

Do Józefowa napływało coraz to więcej uciekinierów, którzy kierowali się na wschód. Mieszkańcy Józefowa zaczęli uciekać do sąsiednich wiosek. W mieście nie było już lekarzy. Rodzice szukali dla mnie pomocy. Znajomy

z Majdanu Nepryskiego p. Kudlicki znalazł wśród uciekinierów człowieka, który obejrzał moją nogę i powiedział, że mięsień odbity jest od kości i w nodze zbiera się ropa. Polecił mamie sporządzić maść według jego przepisu i przykładać na bolące miejsce. Jak długo przykładałam tę maść nie pamiętam ale wiem, że 12 sierpnia 1939 roku zaczęła mi wypływać z nogi ropa, którą z całych sił wyciskał mi tatuś. Ból ustępował z każdym dniem.

W dniu 14 sierpnia 1939 r., w poniedziałek o świcie, przyszedł z gminy Wawrzyniec Baczmaga i przyniósł kartę mobilizacyjną dla starszego brata Edwarda. Mama płakała i zaczęła pakować kuferek dla brata na drogę, bowiem za kilka godzin miał odjeżdżać pociąg z Długiego Kąta na zgrupowanie. Pakowała suchą kiełbasę, cukier w kostkach, suchary i bieliznę na zmianę. Tatuś siedział w milczeniu, bo wiedział co to jest wojna ponieważ był na pierwszej wojnie światowej w wojsku carskim osiem lat. Wtedy mogłam już przy pomocy laseczki chodzić i całej krzątaniu przyglądałam się z uwagą i też płakałam. Patrzyliśmy wszyscy jak Edward się oddala i razem z rodzicami płakaliśmy.

Na ulicy było dużo obcych ludzi, którzy byli bardzo wystraszeni i ciągle gdzieś biegli. Był wielki chaos. W gminie, w oknie stało radio i nadawało komunikaty o sytuacji w kraju. Któregoś dnia pokuśtykałam do piekarni i zobaczyłam jak przed piekarnią stoi wielu polskich żołnierzy, a ojciec mój wraz z nauczycielką ze szkoły rozdają przez okno chleb żołnierzom. Żołnierze byli bardzo głodni i spragnieni wody. Gdy wracałam z piekarni zobaczyłam jak jakieś „typki” sprzedawały żołnierzom kawałki chleba po 2 zł srebrne, kiedy przed wojną cały bochenek kosztował 50 gr. Powiedziałam o tym tatusiowi, który mi odpowiedział: „Dziecko, na wojnie uczciwi ludzie tracą, a nieuczciwi się bogacą”.

Zrozumiałam to dużo później. Mama pomagała uciekinierom, szczególnie kobietom z dziećmi. Gminna część tych ludzi ulokowała w Domu Ludowym nad sklepem spółdzielczym. Kiedyś tam poszłam, w sali było mrowie kobiet z dziećmi. Zwróciłam uwagę na jedną kobietę, która gotowała zupę w nocniku. Powiedziałam o tym mamie i mama dała mi garnek, żebym zaniosiła tej kobiecie. Kobieta była bardzo szczęśliwa, dziękowała i dziwiła się skąd ja wiedziałam, że ona nie ma garnka.

Gdy zaczął się zbliżać front, mieszkańcy Józefowa opuszczali domy i udawali się do pobliskich wiosek. Moi rodzice spakowali najniezbędniejsze rzeczy i zabezpieczyli je w piwnicy naszej kamienicy. Myślałam, że my też pój-

dziemy na wieś, ale gdy stanęliśmy przed kamienicą, tatuś powiedział: „Całe życie pracowałem na to i tego nie zostawię, nie będę się poniewierał z dziećmi”. Z kamienicy wszyscy lokatorzy już puciekali. W piwnicy mieliśmy materace i zapasy na zimę. Kiszoną kapustę, ogórki w beczkach, a w garnkach glinianych smalec i pieczony schab. W piwnicy współwłaściciela kamienicy Andrzeja Bienia ulokowało się starsze małżeństwo Laskowskich z synem. Rodzina ta miała krowę i mieliśmy mleko.

Front był coraz to bliżej i wystrzały armatnie coraz to głośniejsze. Żołnierze byli głodni i spragnieni wody. Mamusia gotowała kapuśniak dla żołnierzy z myślą, że może też jakaś matka da kromkę chleba jej synowi Edkowi gdzieś na froncie.

Współwłaściciel kamienicy Andrzej Biń założył w swojej części kamienicy restaurację z szyldem „Wyszynk Wódek i Piwa”. Żołnierze dobijali się do tego lokalu, ale lokal był zamknięty okiennicami. Sądząc, że to lokal tatusia, żołnierze kazali tatusiowi otworzyć wyszynk. Tatusz tłumaczył, że lokal nie należy do niego i nie ma właściciela. Nie dając wiary gonili tatusia po schodach szukając kluczy. Mamusia prosiła, żeby nie gonili tak ojca, bo jest chory i ma astmę. Wówczas usłyszała jak jeden z żołnierzy krzyknął: „Daj babie w mordę”.

Gdy ojciec stanął w obronie mamusi, wówczas jakiś oficer krzyknął: „Weźcie starego na bagnety”. Podbiegłyśmy z płaczem do tatusia i wówczas oficer go zwolnił. Wszyscy wróciliśmy do piwnicy. Słyszałam jak tatuś narzekał na Andrzeja Bienia, który przed wojną, w wojskowym mundurze wiecował na trybunie w Józefowie i krzyczał: „Nie oddamy ani jednego guzika” a teraz pierwszy uciekł z Józefowa.

Mama była rozżalona i powtarzała: „Jak to możliwe, żeby polski żołnierz tak potraktował rodziców, którzy sami mają syna na wojnie”.

Była sobota 16 września 1939 roku. Mama poszła do starego domu w pobliżu szkoły. Rozległy się strzały armatnie. Jeden z pocisków uderzył w szkolne ustępy, które stały obok szkoły. Ustępy się zapaliły. Mama spieszyła do nas, ale żołnierze nie chcieli jej przepuścić, bo był bardzo ostry ostrzał. Kiedy ostrzał osłabł, mama przybiegła i powiedziała co się stało.

Było ciepło i sucho a wiatr przenosił ogień na dachy drewnianych budynków. W pewnej chwili strzały umilkły. Wyszliśmy z piwnicy i rodzice zdecydowali, że ja i młodsza siostra Lucyna mamy iść do księdza i mamy zabrać ze sobą Żydóweczkę, którą przyprowadziła mama z ulicy. Prawdopodobnie jej mama zmarła. Ja wzięłam obie dziewczynki za ręce i poszłyśmy nie na plebanie do księdza, ale do zaprzyjaźnionego z nami księdza - emeryta Józefa Chotyńskiego. Szłyśmy ulicą zapłakane i wi-

działyśmy w rynsztokach leżące karabiny, maski gazowe, bagnety, granaty okrągłe i długie, hełmy, szynel wojskowe. Mijał nas żołnierz na koniu i powiedział: „Nie płaczcie dzieci” i pojechał dalej. W tym momencie, choć miałam 7 lat, miałam do niego żal, że on taki duży z karabinem i na koniu, pojechał i nas zostawił oraz kazał nam nie płakać. Szłyśmy dalej pustą ulicą i w końcu dotarłyśmy do zaprzyjaźnionego księdza. Gospościa księdza pani Świszkowa postawiła przed nami miskę gotowanych kartofli w mundurkach. Znowu rozszalała się strzelania i pobiegłyśmy z tymi kartoflami do piwnicy. Byłyśmy bardzo przestraszone i chciałyśmy wracać do domu. Strzały ucichły i przyszło do księdza pięciu Żydów w świątecznych strojach z „pacierzami” pod pachą. Pacierze to długie paski zakończone klockami, którymi mężczyźni owijają sobie ręce do modlitwy. Była sobota, obowiązywało ich zachowanie święta (szabat). Wyszłam z księdzem na balkon i zobaczyłam nad Józefowem dym. Józefów się palił.

Mama później opowiadała, że kiedy ogień z sąsiedniego budynku żydowskiego zaczął obejmować naszą kamienicę to mama prosiła przechodzących Żydów o pomoc ale oni odmówili mówiąc, że dzisiaj mają święto i nawet swojego domu nie będą gasić. Skojarzyłam, że byli to ci sami Żydzi, którzy byli u księdza. Stałam przez chwilę w ogrodzie u księdza, kiedy znowu wzmożyły się strzały a za dachami pobliskich domów unosiły się olbrzymie kłęby dymów z miejsca, gdzie stała nasza kamienica. Ksiądz kazał nam wrócić do piwnicy, a gospościa dała nam coś do jedzenia, rozścieliła duży kożuch i położyłyśmy się spać. Następnego dnia była niedziela i postanowiłyśmy wrócić do domu. Niemcy już nie strzelali, było cicho i mglisto. Powoli zbliżyłyśmy się do kamienicy ale zamiast kamienicy, stały opalone ściany z dziurami po oknach i drzwiach. Po domach drewnianych zostały tylko kikuty kominów. Nikogo w pobliżu nie było. Stałyśmy oniemiałe. Zza ulicy wyszła jakaś dziewczyna, zabrała Żydóweczkę i bez słowa odeszła. Zostałam z moją 5-letnią siostrą. Po chwili zjawiała się jakaś kobieta z krową, była to pani Laskowska, ta sama, która była z nami w sąsiedniej piwnicy. Pocięszyła nas, że rodzice żyją i wszędzie nas szukają. Zaprowadziła nas do pobliskiego domu, który ocalał z pożaru a właściciele państwo Klejn uciekli na jakąś wieś. Tam właśnie ulokowali się moi rodzice i rodzina Laskowskich. Mamusia na nasz widok rozplakała się a pani Laskowska wydoiła krowę i podała nam mleko. Okazało się, że rodzice po pożarze szukali nas u księdza na plebani nie przypuszczając, że mogłam pójść do innego księdza.

W Józefowie wypalone zostało prawie całe centrum handlowe i sąsiadujące domy. Miasto było jednym wielkim

pogorzelskiem. Ci, którzy uciekli przed frontem jeszcze nie wracali.

Stałam przed domem, w którym schronili się rodzice, gdy zauważyłam, że od strony Tomaszowa wjechały samochody ciężarowe pełne nieznanego mi wojska. Było to wojsko niemieckie. Za wojskiem tym szli polscy jeńcy, których ulokowali na przykościelnym cmentarzu. Wtedy wróciliśmy z całą rodziną do starego domu, który ocalał. Mama nie wiem z jakich zapasów zaczęła gotować zupę dla jeńców. Wiem, że były to zupy z kaszą. Ja i starsza siostra Marianna miałyśmy za zadanie brać od jeńców menażki i po napełnieniu ich zupą odnosić do jeńców i rozglądać się czy nie ma wśród nich naszego brata Edwarda. Niemcy nie sprzeciwiali się temu co robiłyśmy. Mieszkańcy Józefowa powoli zaczęli wracać. Jedni nie mieli do czego, inni na swoje pogorzelska. Proboszcz oddał pogorzelscom całą plebanię. Było również bardzo tłoczno w ocalałych domach prywatnych. Budynki publiczne i szkołę zajęło wojsko niemieckie. Niemcy dalej sprowadzali jeńców, których rozlokowywali na pobliskich polach. Rodzice poszli wraz z siostrą Marianną zanieść jeńcom chleb i szukać Edwarda. Siostra Marianna rozpoznała znajomego z Józefowa pana Koronę, który poprosił ją, żeby zawiadomiła żonę i żeby przyniosła mu cywilne ubranie. Siostra szybko pobiegła i wróciła z panią Koronową i tak mąż wrócił z żoną do domu. Siostra w nagrodę otrzymała od pani Koronowej ładne, granatowe pantofelki. Rodzicom nie udało się znaleźć Edwarda.

Pod koniec września 1939 roku Niemcy opuścili Józefów, a wtedy wjechały wojska radzieckie niszcząc czołgami jezdnie i chodniki. Wielu Żydów wówczas założyło czerwone opaski na ramieniu i chodziło z karabinami. Pewnego dnia wracałam z ojcem z domu żałoby pp. Krzaczków, którym zmarła córka. Podszedł do nas młody Żyd z karabinem i zawołał do tatusia: „Obywatelu do domu, bo strzelbuję”. Robił się zmierzch, Żyd oparł karabin o bruk a my odeszliśmy. Żołnierze radzieccy i Żydzi zaczęli się panoszyć. Opanowali Urząd Gminy i odgrządzali się Polakom. Kiedyś żołnierz usiłował ściągnąć obręczkę ślubną z palca mamusi kalecząc palec do krwi. Pewnego dnia podjechał pod nasz dom oficer radziecki na koniu i powiedział mamie, że zabiera nam naszego konia i zostawia nam swojego. Protesty na nic się nie zdały. Oficer konia zabrał i pojechał. Okazało się, że pozostawiony koń jest wierzchowcem i do zaprzęgu się nie nadaje. Przy pierwszym zaprzęgu koń rozwalił wóz i uciekł. Nie była to jedyna nasza strata z okresu rządów radziecko-żydowskich w Józefowie. Pewnej nocy Żydzi podpalili nam resztki ocalałej z pożaru odzieży, która była w schowku. Tatusz poszedł do gminy ze skargą na Żyda. Wówczas usłyszał, że jak jeszcze raz przyjdzie ze skargą to go zastrzelą.

Rządy radziecko-żydowskie w Józefowie szybko się skończyły. Do Józefowa znowu wróciło wojsko niemieckie. Wszyscy Żydzi z czerwonymi opaskami zniknęli. Mówiono, że byli komunistami i wyjechali razem z Armią Czerwoną. Niemcy zaczęli się zagospodarowywać. Otworzyli mleczarnię, wybudowali suszarnię cebuli i pozwolili Polakom otwierać sklepy i warsztaty rzemieślnicze. Do wybudowanej suszarni na placu spółdzielczym, gdzie stały magazyny, zaczęto przywozić cebulę. Miejscowe kobiety obierały, kroїły, układały na sita i ustawiały cebulę na stojaki. Podobno wysuszoną cebulę wysyłano dla żołnierzy niemieckich na front wschodni. Do otwartej mleczarni w budynku Adama Marta przy ulicy Piłsudskiego (obecnie Kościuszki) rolnicy przywozili mleko, które było na miejscu odwirowywane na śmietanę. Początkowo można było kupować chude mleko, ale później zabroniono sprzedaży. Otworzyli posterunek policji i pozwolili otworzyć szkołę. Na otwarcie szkoły Niemcy kazali przynieść podręczniki do historii, geografii i języka polskiego i złożyć je na placu przed szkołą, obok remizy strażackiej. Następnie Niemcy wszystkie książki podpaliли. Szłam we wrześniu 1939 roku do pierwszej klasy szkoły podstawowej. W głównym budynku uczyły się klasy od IV do VII a młodsze klasy rozmieszczone były w domach prywatnych. Uczyliśmy się z wydawanych przez Niemców w języku polskim „Sterów” i książek rachunkowych. Wiersze pisano na tablicy i uczyliśmy się ich na pamięć. Wiosną 1940 r., Niemcy nałożyli na szkołę obowiązek zbierania ziół. Zbieraliśmy pokrzywę, miętę, pokrzywę białą i rumianek. W czasie wakacji Niemcy kazali kierownikowi założyć hodowlę jedwabników. W szkolnym ogrodzie rosły morwy. Pomagałam dzieciom kierownika Irenie (11 lat) i Bogdanowi (8 lat) zrywać liście morwy, bo te jedwabniki były bardzo żarłoczne. Kiedyś woźny z Urzędu Gminy wyszedł na ulicę z bębniem i ogłosił, że wszyscy mieszkańcy Józefowa mają obowiązek przynieść do urzędu wszystkie przedmioty z mosiądzu. Mieszkańcy zdejmowali klamki z drzwi, lichtarze i inne przedmioty z mosiądzu i zanosili do gminy. Tatusz zaniósł dwa piękne samowary, a z kościoła kazano zdjąć dzwony i zawieść do Biłgoraja. Dzwony zdjęto, odwieziono je do gminy, ale do Biłgoraja nie dotarły. Nie pomogły poszukiwania i wyjaśniania co się stało z tymi dzwonami Nikt z mieszkańców Józefowa nic nie widział i nie słyszał na ten temat. My, jako dzieci krążąc ustawicznie po mieście zauważyłyśmy, że na cmentarzu obok mogił żołnierzy polskich, pojawiła się nowa mogiła. Ale o tym nic nikomu nie mówiłyśmy. Po wojnie dzwony pojawiły się znowu na dzwonnicy, a mieszkańcy na ich dźwięk płakali. Niektóre dzieci wiedziały, gdzie były schowane przed okupantem.

W Józefowie odbywały się normalne poniedziałkowe targi. Kobiety ze wsi przynosiły w koszykach masło, jajka, ser i kurczaki. Do Józefowa na ten dzień przyjeżdżało dużo osób z Warszawy po zaopatrzenie. Wiele z nich zatrzymywało się u nas w domu. Niektóre produkty pakowano do paczek i wysyłano pocztą. Mieli już przygotowane kartki z adresami i przyklejali je na paczkach. Jeden taki adres pamiętam: Warszawa-Grochów ul. Igańska 4.

Z Warszawy za żywność przywożono na wymianę odzież, obuwie, książki itp. Mamusia kupiła dla mnie materiał na sukieneczkę i na welonik do pierwszej Komunii świętej. Od jednej z pań dostałam książeczkę o św. Teresie. Byłam już w drugiej klasie.

Niemcy coraz bardziej zaczęli ograniczać Polaków. Zaczęli kobietom ze wsi idącym na targ odbierać nabiał i kurczaki. Zakazano uboju świń pod groźbą więzienia. Z posterunku usunięto miejscowych policjantów granatowych. Na ich miejsce sprowadzono granatową policję podobno z Poznańskiego. Wiem, że komendantem był policjant o nazwisku Flisikowski, miał żonę i córkę Jadzię. Był też policjant Łusiak, kawaler i Potsman, który miał żonę i gromadkę dzieci. Ten policjant przyszedł do nas, żeby mu wskazać gospozię, która ma krowę, bo chciałby, aby jego dzieci piły świeże mleko bezpośrednio od krowy. Znaleźliśmy taką gospozię panią Krzaczkową i codziennie o zmierzchu przyprowadzałam te dzieci do tej gospożi na świeże, ciepłe, jeszcze z pianką mleko prosto od krowy. Byli jeszcze inni policjanci bez rodzin. Jeden z nich poszedł wieczorem na jakąś akcję i zginął między Parydysówką a Hamernią. Zwłoki zostały złożone w kościelnej dzwonnicy. Pobiegłam je oglądać i zobaczyłam jak jakaś pani płakała i mówiła: „Włodku, co tu robisz” Zapamiętałam to imię. Komendant z rodziną mieszkał w parterowym domu Juliana Czaporowskiego, miejscowego organisty przy ulicy Kościelnej.

Pewnego ranka mamusia dowiedziała się, że Niemcy aresztowali dwóch synów dziedzica pobliskiego majątku w Izbicy. Aresztowani byli oficerami wojska polskiego. Niemcy aresztowali również księdza Widawskiego, który był w Józefowie znanym społecznikiem. Był to dla nas szok. Ciągłe nie wiedzieliśmy co się dzieje z naszym bratem Edwardem.

Do Józefowa zaczęły przyjeżdżać transporty Żydów z Poznańskiego. Lokowano ich wśród miejscowych Żydów. W mieszkaniach żydowskich był ogromny tłok. W cieplejsze dni życie ich przenosiło się przed domy. Wszyscy Żydzi musieli nosić na rękawach opaski z Gwiazdą Dawida. Początkowo przybyłym Żydom jakoś się wiodło, ale z czasem zapasy się wyczerpały i zaczął się głód. Wówczas Żydzi zorganizowali sobie „głodną kuchnię” i własną władzę.

Ci, którzy coś potrafili robić, zaczęli zajmować się krawiectwem, szewstwem itp. Kobiety robiły na drutach lub wykonywały na maszynie skarpetki. Mężczyźni pracowali przy robotach leśnych i robotach drogowych. Krawcowe z Poznańskiego bardzo ładnie szyły. Widziałam pięknie uszyte kostiumy dla córki komendanta policji, Jadzi Flisikowskiej. Dla mnie krawiec uszył ze starego płaszcza mamusi bardzo ładny płaszczyk z czapeczką i mufką. W domu, w którym mieszkaliśmy, mieszkali też Żydzi. Jeden z nich robił drewniaczki dla pań. Były piękne, na wysokich obcasach, na „saneczkach” z ciemnego i jasnego drzewa. Mnie i młodszej siostrze zrobił drewniaczki z biało-czarnymi plecionymi paskami. W jednej żydowskiej rodzinie był chory syn. Przywieźli oni ze sobą maszynę do robienia skarpet. Matka tego chorego syna chodziła do polskich domów i zbierała stare skarpety, z których chory syn na maszynie robił nowe skarpety. Kiedy syn zmarł, matka jego przyszła do nas z prośbą sprzedaży tej maszyny. Brat kupił ją dla nas. Maszyna w walizce leżała w domu. W czasie różnych pacyfikacji, mieszkanie nasze było ciągle plądrowane. Ktoś otworzył walizkę i nie wiedząc do czego służy maszyna, ze złości „narobił” na nią i maszynę pozostawił.

Po wojnie jakaś kobieta z Warszawy przyszła do nas do piekarni po chleb i usłyszała o historii tej maszyny i postanowiła ją od nas odkupić. Okazało się, że syn jej w Powstaniu Warszawskim stracił nogę i był zainteresowany pracą rękodzielniczą. My byłyśmy za małe, żeby na niej pracować. Na pamiątkę zostawiłam sobie igłę trykotarską, którą mam do dzisiaj.

Zima w 1940/1941 była bardzo ostra. Nie było czym ogrzewać mieszkań. W wielu mieszkaniach pojawiły się piecyki z blachy, które szybko ogrzewały mieszkanie i oszczędzały opał. Jednak problemem było to, że nie można było się do nich zbliżyć, a gdy ogień zgasł momentalnie było zimno. Wspominałam o Żydówkach, które robiły na drutach. W zimnych mieszkaniach ręce marzły i bardzo trudno było robić szybko na drutach. Dlatego też Żydówki szukały ciepłych miejsc. Martowa Leonowa, której dom też się spalił, mieszkała na plebanii w dużej kuchni. Miała czworo małych dzieci i musiała ogrzewać mieszkanie. Odstąpiła Żydówkom spizarkę, do której dochodziło ciepło z kuchni. Siedziały ściśnięte na krzeselkach i robiły garsonki dla żon urzędników. Podobało mi się to, co one robią i poprosiłam brata Krycha, żeby mi przyniósł dwie naostrzone szprychy z roweru i zaczęłam uczyć się od nich robić na drutach. Miałam 8 lat i szybko sama robiłam sobie sweterek z golfem.

Polacy zaczęli nielegalnie „pędzić” bimber. Kupowali na wsiach żyto i ziemniaki, robili zaciery i przepuszczali przez różne rurki. Widziałam w mieszkaniach wiele apa-

ratów do produkcji samogonu. Słyszałam, że najlepszy samogon jest z żyta. Żeby sprawdzić, nalewano samogon na łyżkę i podpalano. Jak zapalił się, był dobry. Handlowano tym „bimbrem” i za zarobione pieniądze pogorzelnicy kupowali kamień wapienny i wypalali wapno. Kiedy wypełniono dół zlasowanym wapnem i wapno ostygło, zasypywano dół piaskiem. Był już przygotowany najważniejszy materiał do budowy.

Żydzi z powodu głodu, brudu, ciasnoty i zimna zaczęli chorować na tyfus. Niemcy zarządzili aby na drzwiach mieszkań, w których są chorzy, wywieszać kartkę z napisem „TYFUS”. Niemcy bardzo się bali tej choroby.

W trudnej sytuacji znaleźli się nauczyciele. Dla wielu z nich nie było pracy. W Józefowie była tylko Spółdzielnia Spożywców. Niemcy wprowadzili kartki żywnościowe, a Spółdzielnia musiała obsłużyć całą gminę i potrzebowała więcej pracowników. Kierownik spółdzielni Mikołaj Malawski postanowił zatrudnić nauczycieli w sklepie. Kartki trzeba było wycinać, nalepiać na większe arkusze papieru i rozliczać ze sprzedanego towaru.

Józefów nie miał elektryczności. Przed wojną budowana była linia ze Stalowej Woli, ale wojna przerwała prace. Z naftą też były trudności. Niemcy sprowadzili karbid w metalowych beczkach. Miejscowi blacharze z zebranych pocisków artyleryjskich zdejmowali gilzy, przecinali je i robili puszki na karbidówki. Wielu na tej produkcji dobrze zarabiało. Pamiętam jak na ślubie Muńka Maśki jego drużba kładł sobie pod kolana banknoty stułotowe. Inni ratowali się czym mogli. Pamiętam również, jak pani doktorowa Lesiukowa często wysyłała mnie z kiszonymi ogórkami do państwa Bartoszewskich, którzy mieszkali wówczas u pana Wawrzyńca Puźniaka przy ulicy Biłgorajskiej.

Przyszedł 1941 rok. Od brata Edwarda przysłała wiadomość, że został wzięty do niewoli pod Sochaczewem. Teraz jest w Niemczech i pracuje u piekarza. Pocieszał rodziców, że wojna się wkrótce skończy i będziemy razem. Ludzie coraz częściej mówili: „Im słońce wyżej, tym Sikorski bliżej”. Skończyłam drugą klasę i umiałam już pisać. Pod dyktando rodziców pisałam listy do brata.

W Józefowie jednak nie zanosilo się na spokojne życie. Przez Józefów zaczęły przejeżdżać wozy z zaopatrzeniem dla wojska niemieckiego na wschodzie. Od zmierzchu przejeżdżały armaty i działka oraz inny sprzęt bojowy. Nie wolno było wychodzić na ulicę. Kiedyś z młodszą siostrą usiadłyśmy wieczorem na schodach domu, zaraz przyszedł jakiś oficer z nahajem, nakrzyczał na nas i uciekłyśmy do mieszkania.

Był miesiąc czerwiec 1941 r. Chodziłam z dziećmi z całej parafii józefowskiej na przygotowanie do Pierwszej Komunii świętej. Mamusia przygotowała mi białą sukienkę

z welonik z materiałów kupionych od warszawskich handlarek za mąkę i stoninę. Rano 19 czerwca 1941 roku w piątek, szłam z młodszą siostrą Lucyną do rodziców na śniadanie, ponieważ spałyśmy w budynku piekarni. Spotkała nas sąsiadka pani Puźniakowa i powiedziała: „Nie macie już mamy”. Spojrzałyśmy na siebie i powiedziałam do siostry: „Ona nas nie poznała”. Poszłyśmy dalej. Kiedy doszłyśmy do mieszkania, w progu stał tatuś, objął nas i powiedział: „Moje dzieci, nie macie już mamy”. Mama miała 48 lat i na wieść o nowej wojnie niemiecko-radzieckiej dostała w nocy ataku serca. Na następny dzień w sobotę odbył się pogrzeb. Po pogrzebie poszłam do kościoła do pierwszej spowiedzi. W niedzielę o świcie zaalarmował nas brat Krych, że w nocy Niemcy wypowiedzieli wojnę Związkowi Radzieckiemu. Zerwaliśmy się z łóżek. Krych pobiegł po rydel, tatuś pakował resztki ubrań, które były w szafie razem z moją białą sukienką, welonikiem i poszedł z Krychem wszystko zakopać. Zostałyśmy same, starsza siostra Marianna, ja - Joanna i młodszą siostrą Lucyną. W pewnej chwili coś huknęło, okna się otworzyły, szyby wypadły a za oknami podniósł się tuman kurzu. Okazało się, że to „Gruba Berta” wystrzeliła na torach w Majdanie Nepryskim.

Przerażenie było wielkie i nie wiedziałyśmy co robić. Tatuś z Krychem nie wracali, kopali schron. Postanowiłam iść do kościoła sama. Zajrzałam do szafy, nie znalazłam sukienki, został tylko płaszczyk. Rano było chłodno, ubrałam płaszczyk i poszłam do kościoła.

W bramie kościelnej stał karabin maszynowy i dwóch żołnierzy niemieckich. Prześliznęłam się przez furtkę. W kościele była nas mała grupka. Moja koleżanka Mirka Miąćówna wyglądała jak biały motylek, a ja byłam w płaszczku i było mi bardzo smutno. Wróciłam do domu, byłam bardzo głodna. Starsza siostra postanowiła ugotować zupę kartoflaną. Obraliśmy kartofle, marchewkę i gotowałyśmy. Wrócił tatuś z Krychem i zjedliśmy „ten uroczysty, niedzielny, komunijny obiad”.

Walki przeniosły się na wschód i w Józefowie był spokój. Tatusiowi trudno było się pogodzić z nową sytuacją rodzinną. W lipcu 1941 r. młodszą siostrą Lucyną zaczęła skarżyć się na ból głowy. Nie było lekarzy, więc poszłam z nią do apteki. Ponieważ budynek apteki w Józefowie spalił się, właściciele apteki z uratowanymi lekami przeprowadzili się do nowo wybudowanego przed wojną budynku nadleśnictwa. Budynek był obszerny i na piętrze była apteka i mieszkanie aptekarza. Aptekarz dał nam jakiś lekarstwo i powiedział, że to jest anemia.

Po wakacjach 1941 roku tatuś dostał od władz niemieckich polecenie, aby piekł chleb na kartki. Ucieszył się, że będzie praca i zarobek. Nikt nie spodziewał się najgorsze-

go. Podczas obowiązkowych badań na kartę zdrowia, lekarz niemiecki stwierdził, że tatuś ma chore płuca. Tatuś nie mógł podjąć pracy w piekarni. Za zgodą władz, zastąpił go młodszy syn Krystian, bo miał już 18 lat. Zatrudniony został kwalifikowany piekarz i pomocnik. Tatuś opadał z sił. Musieliśmy się podzielić obowiązkami. Krystian pilnował pracy w piekarni, przydziału mąki na chleb, przydziału drewna i rozliczeń finansowych. Starsza siostra Marianna prowadziła dom i opiekowała się najmłodszą siostrą Lucyną. Mnie przypadła rola pielęgniarki. Opiekowałam się chorym tatusiem. Chodziłam już do trzeciej klasy szkoły podstawowej. Zbliżała się zima. Umieściliśmy tatusia w budynku, w którym była piekarnia. Byliśmy w jednym pokoju. Musiałam dbać, żeby w pokoju było ciepło. Palłam w piecu rano i wieczorem. Pilnowałam, żeby w pokoju zawsze było światło. Wstawałam w nocy i dolewałam nafty do lampy. Przynosiłam posiłki, pomagałam przy myciu tatusia i robiłam wiele rzeczy, których wymaga chora osoba. Poza tym chodziłam do szkoły. Zima była bardzo mroźna. Buty przemakały, odzież była licha. Żołnierze niemieccy wracali ze wschodu z odmrożonymi uszami, a we Lwowie panował wielki głód. Polakom wolno było jeździć koleją i jeździli do Lwowa z żywnością. Brat przywiózł kiedyś ze Lwowa za chleb męskie ubranie dla tatusia.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia 1941 roku. Przygotowaliśmy kolację w pokoju, gdzie leżał tatuś. Był barszcz czerwony, kluski z żytniej razowej mąki i kapusta z kartoflami. Było bardzo smutno. Po kolacji tatuś powiedział: „Ja wam chyba niedługo umrę”. Rozplakałyśmy się wszystkie. To była nasza najsmutniejsza Wigilia. Przychodzili do tatusia lekarze. Doktor Lesiuk z Józefowa i doktor Kazimierz Białoszewski (warszawiak), ale byli bezradni, bo sami nie wiedzieli co to za choroba. Był dzień 27 stycznia 1942 roku. Jak zawsze poszłam po obiad. Kiedy wróciłam, tatuś nie mógł mówić. Patrzył na mnie, ale nie mówił. Przestraszyłam się ponieważ nikogo poza mną nie było w domu. Na szczęście do piekarni przyszedł brat Krystian. Zaczęliśmy organizować pomoc. W pobliżu mieszkał lekarz. Wezwaliśmy go, ale nic nie mógł zrobić. Sprowadziliśmy księdza ale on mógł dać jedynie tylko oleje święte, bo tatuś nie mówił. Spoglądał na otwierające się drzwi i czekał na najstarszego syna Edwarda, który miał przyjechać na urlop z niewoli niemieckiej. Tatuś zmarł następnego dnia o piątej rano. Wiedział, że staramy się przez gminę w Józefowie o urlop dla brata z uwagi na śmierć matki i ciężką chorobę tatusia oraz młody wiek pozostawionych bez opieki osieroconych dzieci. Brat przyjechał dopiero 2 lutego, już po pogrzebie ojca. Zobaczył wtedy jakie wielkie spustoszenie zrobiła wojna w naszej rodzinie. Nie

było rodziców, nie było kamienicy, nie było sklepu, nie było konia i środków do życia. Była tylko gromadka roduństwa wymagająca opieki. Dzięki niemieckiemu zezwoleniu na wypiek chleba, brat mógł organizować nasze życie od nowa.

W 1942 roku Niemcy zaczęli organizować robocze grupy pracowników leśnych, złożone z Żydów. Trzeba było zwolnić pracowników z piekarni, bo byli Żydami. Brat Edward razem z młodszym Krystianem sami podjęli pracę w piekarni. Żydzi codziennie idąc do pracy w lesie, w marszu musieli śpiewać następującą pieśń: „Jak był Śmigły - Rydz, Żydzi nie robili nic. Jak przyszedł Hitler złoty, nauczył nas roboty. Wpierw jedliśmy kury, kaczkę, teraz nosim żółte znaczki” (gwiazdy Dawida). Wtedy zaczęły się pierwsze likwidacje Żydów. Każdy słaby Żyd idący w szeregu ginął zastrzelony w czasie marszu. Niemcy przyznali Polakom kartki żywnościowe, na których był chleb marmolada i kilka dekagramów mięsa. Po marmoladę trzeba było stać w długiej kolejce, ale nie zawsze dla wszystkich starczyło. Dlatego ja chodziłam do spółdzielni bardzo wcześnie i pilnowałam dostawy towaru oraz zajmowałam dobre miejsce w kolejce. Niemcy coraz bardziej terroryzowali Żydów. Zabijali ich już na ulicy za byle jakie przewinienia. Na ulicy pozostawiali trupy przez wiele godzin, a następnie innym Żydom nakazywali sprzątać zwłoki. Widziałam te zabite osoby, ich potraskane twarze i błagalne oczy. Ogarniał mnie coraz większy strach. W dniu 13 lipca 1942 roku, w poniedziałek obudził mnie hałas w naszym domu. Niemcy wypędzali Żydów z mieszkań. Wszystkich prowadzili na Rynek a z Rynku wywozili do lasu, tam ich rozstrzeliwali i wrzucali do dołów. O zmierzchu w Józefowie nie było już Żydów. Została tylko pustka i cisza.

W tym czasie polska młodzież zaczęła produkować papierosy. Przywożono liście tytoniu, które wymagały przygotowania i obróbki. Liście trzeba było wygładzać, zwijać w rulon i bardzo cienko kroić. Pokrojony tytoń roztrząsało się jak makaron i suszyło na arkuszach papieru. W sklepie kupowało się papierowe gilzy po 100 sztuk i specjalną maszynką wciskało się do papierowej lufki. Pomagałam kolegom przy tej produkcji i byłam nawet chwalebna za staranną pracę. Chłopcy z tymi papierosami jeździli w pociągach i tam je sprzedawali.

Kończył się 1942 rok. Widać było wśród mężczyzn dziwne poruszenie. Siedzieliśmy z sąsiadami pp. Puźniakami przy kolacji Wigilijnej kiedy z zewnątrz zaczęły dochodzić strzały i odgłosy nerwowej bieganiny. Do naszego mieszkania wbiegł Muniek Maśko z karabinem. Dla nas dzieci był to niesamowity widok. Bracia szybko wyszli z nim z mieszkania. Po chwili wrócili żeby nas uspokoić. Sąsiadka szepnęła, że to źle wróży na następny rok. Już

od 30/31 grudnia 1942 roku zaczęły się detonacje na stacjach kolejowych w Krasnobrodzie i Suścu. Wylatywały w powietrze wieże ciśnień, tory kolejowe i mosty. Niemcy rozpoczęli pacyfikację wiosek.

Był początek lutego 1943 roku. Bratowa moja obudziła nas wcześnie rano i kazała szybko się ubierać. Bez śniadania poszliśmy wszystkie do Borysów, którzy mieszkali na skraju Józefowa. Było tam już kilka osób, ale nie było wśród nich mężczyzn. Kobiety chodziły niespokojne i popłakiwały. Czas mijał i nikt nie wiedział co się dzieje.

Pewnego popołudnia, moja bratowa nalatała do dzbanka kapuśniaku i kazała mi zanieść do pobliskiej wioski - Morgi na Górę Winiarczyka, do domu stojącego na jej szczycie. Nigdy tam wcześniej nie byłam. Miałam wtedy 11 lat. Kiedy szłam, padał śnieg, było zimno i pusto na ulicy. Mijał mnie niemiecki patrol, ale mnie nie zatrzymał. Poszłam dalej i bez trudu znalazłam dom, do którego szłam. Kiedy otworzyłam drzwi, przeraziłam się. W izbie było dużo mężczyzn. W kącie stały karabiny. Na ścianach wisały pasy z nabojami a nad paleniskiem wisały onuce. Z przerażenia wyrwał mnie młodszy brat Krych, który chwycił mnie za ręce i zawołał: „Moja siostra”. Wtedy zaczęłam poznawać innych. Byli wśród nich nasi sąsiedzi, znajomi i kuzyni. Wszedł mój starszy brat Edward i przerażony zapytał: „Co ty tutaj robisz?”. Odpowiedziałam, że przyniosłam kapuśniak. Kazał mi szybko wracać do domu i nikomu nic nie mówić. Pan Miąc też tam był.

Pewnego dnia pod koniec lutego 1943 roku, znowu bratowa obudziła nas bardzo wcześnie rano i znowu poszliśmy do Borysów i znowu nie było mężczyzn. Tym razem przyszedł po nas Niemcy i kazali nam iść do Domu Ludowego. Mieli sprawdzać dokumenty. Na olbrzymiej sali było już kilkadziesiąt osób. Weszliśmy jako dzieci na scenę, żeby móc lepiej obserwować co się będzie działo na sali. Sala zappełniała się ludźmi a co pewien czas wchodził oficer niemiecki i odczytywał z listy nazwiska osób podejrzanych. Osoby, które się zgłosiły przechodziły do innej sali. Jak zorientowaliśmy się, Niemcom zależało szczególnie na rodzinach osób, które poprzedniej nocy zostały odbite z posterunku policji w Józefowie. Byli nimi: Konrad Bartoszewski „Wir” i Hieronim Miąc „Korsarz”. Niemcy trzymali nas bardzo długo i zagrozili, że jeżeli ze strony partyzantów padnie choć jeden strzał to wszystkich nas rozstrzelają. Ludzie klękali prosząc Niemców o litość. Było bardzo dużo małych dzieci ale Niemcy byli jak głązy. Kiedy na salę weszła rodzina Konrada Bartoszewskiego (ojciec, matka i siostra), jedna kobieta, ich sąsiadka, krzyknęła do Niemca, że to oni są rodzicami odbitego Konrada. Widziałam to na własne oczy i do dzisiaj nie mogę zrozumieć dlaczego tej kobiety nie spotkała żadna

kara ani w czasie okresu partyzanckiego ani po wojnie. Niemcy zaraz zabrali rodzinę Bartoszewskich, a pozostałym zebrany kazano zejść na rynek. Przed tłumem ludności, na zgłiszczach spalonego w 1939 roku domu ustawiono: ojca, matkę i siostrę Konrada. Przed nimi ustawił się pluton egzekucyjny i na rozkaz oddał salwę do stojących. Kiedy padli, podszedł do nich oficer niemiecki i oddał strzał z pistoletu do każdej z ofiar.

Siedziałam w dołku po spalonych 1939 roku nowo wybudowanych 20-tu polskich sklepach (jeden był też nasz) i wszystko widziałam. Nagle usłyszałam krzyk i tłum zafalował. To Niemiec krzyczał, żeby rozejść się. Każdy biegł w inną stronę, żeby być jak najdalej od tej egzekucji. Ja pobiegłam do domu z siostrami i bratową. Dom był otwarty i splądrowany. Zabraliśmy potrzebne ubrania i uciekaliśmy w topniejącym śniegu do wsi Nowiny. Tam mieszkała siostra bratowej. Baliśmy się, że Niemcy teraz po egzekucji sięgają będą do rodzin, których mężowie lub synowie są w partyzantce. Ktoś przecież mógł Niemcom donieść, że u nas w rodzinie jest dwóch braci w partyzantce. Gdy tak brnęliśmy przez topniejący śnieg i kałuże wody, zauważyłam sanie a na saniach Mirkę Miącównę z mamą, które miały też być zabite przez Niemców za odbitego z posterunku policji ojca Hieronima Miąca. Biegłam za saniami i krzyczałam: „Nie wracajcie do Józefowa, tam są Niemcy i czekają na was”. Ale furman przyspieszył i szybko się oddalił. Całą noc wołałam we śnie, ostrzegając Mirkę.

W Nowinach byliśmy kilka dni. W tym czasie miałam okazję pojechać „kolibą wąskotorową” do obozu w kamieniołomach w Błudku, gdzie więźniowie pracowali pod niemieckim nadzorem. Potem poszliśmy do Ciotuszy, ponieważ tam mieszkali rodzice bratowej z jej siostrami. Pamiętam, że co wieczór przychodziły do tego domu panienki z robótkami na drutach. Wszystkie robiły swetry, być może dla swoich chłopców w partyzantce. Gospoia przedła lniane nici, którymi wzmacniała włóczkę, żeby swetry były mocniejsze. Nadszedł Popielec. Wszyscy szli do kościoła do Majdanu Sopockiego i my z młodszą siostrą Lucyną poszliśmy także. Był luty, było zimno, nabożeństwo odprawiano w wiejskiej chacie, bo Niemcy zajęli kościół. W izbie było bardzo zimno i bardzo zmarzliśmy. Po powrocie, gospoia dała nam gorącą zupę z suszonych gruszek zabielaną mąką i kartofle ugniecione z utartym makiem. Potrawy były nawet smaczne. Jak długo byliśmy w Ciotuszy nie pamiętam, ale w tym czasie też zdążyłam sobie zrobić na drutach sweterek z golfem. Przed Wielkanocą wróciliśmy piechotą (11 km) do Józefowa.

Brat Edward przygotował dla nauczycieli paczki świąteczne, ponieważ nauczyciele byli w bardzo trudnych

warunkach życiowych. W paczkach był chleb, mąka, słonina, kasza i kiełbasa. Roznosiłam te paczki z młodszą siostrą Lucyną. Otrzymywałyśmy od nauczycieli w prezencie wycinanki z kolorowego papieru.

W 1943 roku coraz częściej rozchodziły się pogłoski o partyzanckich potyczkach z Niemcami. Grasowało też wiele band i złodziei. W Józefowie zorganizowano warty, które miały za zadanie ostrzegać mieszkańców przed bandami i Niemcami. W dniu 19 marca 1943 roku w Józefowie był właśnie odpust, gdy na drodze z Łukowej do Józefowa bandyci napadli i zamordowali wracających z zakupów z Łukowej Leona Marta, który był właścicielem restauracji w Józefowie, Marię Drożdziel z Brzezina, Małkowską z Łukowej i ciężko ranili Mariannę Martową z Buliczówki. Wszyscy jechali na jednej furmance Leona Marta. M. Drożdzielową i Mariannę Martową (bratową Leona) przywieziono do Józefowa. Małkowską mąż zabrał z miejsca zbrodni do domu do Łukowej. Wracałam z kościoła i na wieść o zbrodni pobiegłam do Martów. Widok był przerażający. Poszarpane twarze, krew i rozpacz rodziny. Leon Mart miał żonę i pięcioro dzieci. Mariannę Martową zawieziono do szpitala w Biłgoraju. Przeżyła. Zmarła dopiero w 1977 roku, mając 87 lat.

W dniu 29 marca 1943 r. od strony Pardysówki Dużej rozległy się strzały. Ktoś przebiegł obok naszego domu i zawołał: „Pardysówka się pali”. Weszłam po drabinie na dach naszego domu i zobaczyłam jak nad drzewami Choiniastej Góry unosi się ciemny dym. Niemcy pacyfikowali wieś. Słyszałam jak ludzie mówili, że Niemcy podpalali wieś, kiedy mieszkańcy jeszcze spali. Strzelali do tych, którzy próbowali uciekać, a małe dzieci wrzucali do dołów z gazowym wapnem. Resztę mieszkańców, którym udało się przeżyć, Niemcy wywieźli do obozu na Majdaneck. Po odejściu Niemców, mieszkańcy pobliskich wsi i Józefowa, odważyli się pójść na miejsce pacyfikacji. Zastali zgłiszczą domów a w schronach zwłoki zaduszonych ludzi z powodu braku powietrza. Ludzie bali się, że Niemcy mogą tak samo postąpić z nimi i ich wioskami.

Rok 1943 był bardzo niespokojny. Chodziłam do czwartej klasy. Już nie było wyższych klas. Przed lekcjami dowiadaliśmy się, kto w nocy zginął i zamiast iść do klasy biegliśmy do domów ofiar. Byliśmy w domu Buraka, w domu Poldka, który miał restaurację, w domu Michalskich, który zginął a żona była ciężko ranna. Furman, który wioził ją do szpitala w Biłgoraju zatrzymał się przy naszej szkole. Wyszła ze szkoły Pani Fuchsówna i pożegnała się z nią i furman odjechał. Później się okazało, że pani Michalska zmarła w szpitalu. W domu została jeszcze przerażona babcia i mała wnuczka Basia. Za kilka dni dowiedziałam się, że w leśniczówce, chyba na Fryszarce zginął leśniczy Nazarewicz i jego żona. Zwłoki przywie-

ziono do nadleśnictwa w Józefowie. Byłam tam, zwłoki leżały w holu na podłodze.

W Józefowie i okolicy wzmagał się w stosunku do polskiej ludności terror hitlerowski.

Przed końcem roku szkolnego 1943/44 w maju, pod szkołę podjechały samochody ciężarowe z wojskiem niemieckim. Była przerwa, biegaliśmy po klasie i zobaczyliśmy przez okno te samochody i żołnierzy niemieckich. Otworzyliśmy okno od strony ogrodu i przez okno uciekliśmy przez ogród i dalej do domów, gdzie ukryliśmy się. Nauczyciele nie widzieli przyjazdu Niemców, bo byli w pokoju nauczycielskim. Niemcy aresztowali wszystkich nauczycieli i wywieźli do obozu na Majdaneck. Jednym z nauczycieli był pan Krzaczek, który z rodziną przyjechał do Józefowa, uciekając przed Niemcami i na Majdanku zmarł.

W dniu 30 maja 1943 r. nad ranem obudziło nas kołatanie do drzwi. To kolega starszej siostry Marianny ostrzegł nas, że jadą Niemcy i żebyśmy uciekały do kamieniołomów. Brat z żoną był w budynku piekarni i nic o tym wydarzeniu nie wiedział. Szybko ubrałyśmy się i pobiegłyśmy do kamieniołomów. Przybywało coraz to więcej ludzi z dziećmi. Nikt nie wiedział co się dzieje. Wśród tego kłębowiska ludzi byłyśmy jak sierotki bez opieki osób dorosłych. Zrobiło się jasno. Postanowiłam zobaczyć co robią zebrani ludzie. Wyszłam na polanę. Na polanie stała furmanka a przy niej niemiecki żołnierz. Stałam przerażona. On spojrzał na mnie i uśmiechnął się, wtedy go poznałam. Był to Rysiek Czapka, kolega mojego brata Krystiana. Powiedział, że w Józefowie jest spokój i możemy wracać do domu. Powracając zatrzymałyśmy się u Stefci Nowakównej, koleżanki mojej starszej siostry Marianny. Mama Stefci poczęstowała nas zupą. Kiedy jadłyśmy tę zupę na podwórku, przez ulicę przebiegała grupa „naszych chłopców” z pistoletami. Przeskakiwali przez płoty i biegli w kierunku zabudowań braci Kolaszyńskich. Okazało się, że biegli za groźnymi szpiegami niemieckimi. Szpiegzy wbiegli na podwórko Kolaszyńskich i jeden z nich porwał stojącego tam chłopca i wciągnął go do piwnicy. Chłopiec był synem Władysława Kolaszyńskiego. Walka z Niemcem w piwnicy była trudna i niebezpieczna z uwagi na chłopca. Skończyło się tym, że Niemiec zginął, chłopiec stracił nogę a drugi Niemiec uciekł. Jak się uspokoiło, poszłam z młodszą siostrą do domu. Brat z bratową byli w piekarni. Brat piekł chleb. W piekarni była też kuzynka ze Zwierzyńca. Brat był bardzo zdenerwowany, bo nie wiedział co się z nami dzieje. Widocznie wiedział jakie mogą być konsekwencje akcji ze szpiegami ze strony Niemców więc poprosił kuzynkę, żeby zabrała mnie i Lucynę do Zwierzyńca. Dał nam pieniądze na bilety i bochenek chleba do torby. Poszłam sa-

ma z siostrą do Długiego Kąta do pociągu, bo kuzynka miała wsiadać dopiero na następnej stacji w Krasnobrodzie. Razem z nami jechały również dwie dziewczynki 13-letnie Turzyniecka i Futymówna z ulicy Biłgorajskiej z Józefowa. Jechały one do kuzynów, którzy mieszkali we wsi Sochy. Po przyjeździe do Zwierzyńca, kuzynka zaprowadziła nas do swojej mamy i zawiadomiła naszą stryjenkę (żonę brata mojego ojca), u której miałyśmy się zatrzymać. Przyszła stryjenka, ucieszyła się z chleba i zabrała nas do siebie. Po drodze mijaliśmy kapliczkę, przy której odprawiano nabożeństwo majowe. Stryjenka powiedziała, że jest to ostatnie nabożeństwo w tym miesiącu i musimy wejść do środka, pomodlić się. W następnym dniu 1 czerwca 1943 r. rano, obudził nas warkot samolotów. Wyszłam ze stryjenką przed dom i zobaczyłam krążące nad lasem samoloty. Zrzucały one bomby na wieś Sochy oddaloną od stacji kolejowej Zwierzyńiec (gdzie mieszkała stryjenka) około 4 km. Wtedy przypomniałam sobie, że do tej wsi pojechały dziewczynki, które razem ze mną jechały pociągiem. Widziałam też jak samoloty po zakończeniu bombardowania wsi Sochy zmieniły kierunek a stryjenka powiedziała, że poleciały w stronę Józefowa. Tam zrzucili bomby na cmentarz sądząc, że tam są zlokalizowane oddziały partyzanckie. Dowiedziałam się później, że bomby trafiły również w groby moich rodziców, rodzeństwa i babci. Do Zwierzyńca nie docierały żadne wiadomości. Nie wiedziałam co dzieje się w Józefowie i gdzie jest moja rodzina. W połowie czerwca zdecydowałam się sama pojechać do Józefowa, miałam wtedy 11 lat. Przyjechałam na stację Długi Kąt i spotkałam naszych sąsiadów z Józefowa pp. Klejnych oraz ich córkę Stefanię. Pan Klejny właśnie został wypuszczony z więzienia w Zamościu za nielegalny ubój świń (był rzeźnikiem). Klejnowie poszli na Majdan Nepryski a ja z ich córką poszłyśmy do Józefowa (3 km). Józefów był wymarty, ulice porosły trawą. Stefcia została przy swoim domu, bo miała wykopać w ogrodzie butelki ze smalcem, a ja poszłam do swojego domu. Wszystkie pokoje były potwierane, wiatr trzaskał okiennicami a po dużej sieni fruwały papiery. Byłam przerażona, wróciłam do Stefci i poszłyśmy z powrotem 3 km do Długiego Kątu do znajomych Stefci pp. Nowaków. Na podwórku jakaś kobieta stała przy balii i prała. Z mieszkania wyszła panna Aniela Nowakówna. Panie rozmawiały ze sobą (były dużo starsze ode mnie). Ja usiadłam sobie na stołeczku i słuchałam rozmów. Usłyszałam, że pani Aniela gotuje kluski, a pani Stefcia miała smalec. Ucieszyłam się, że wreszcie coś zjem, bo byłam bardzo głodna. Gdy pani Aniela sięgnęła łyżką do garnka, usłyszałam, „Ojej!” Okazało się, że pani Aniela wrzuciła kluski do zimnej wody i zrobił się klej. Nie było żadnego jedzenia, więc po-

szłam na stację kolejową do pociągu, a pani Stefcia została. Wróciłam do Zwierzyńca zmęczona i bardzo głodna. Następnego dnia Niemcy zabronili Polakom jeździć koleją. W dalszym ciągu nie wiedziałam co się dzieje z moją rodziną? W lipcu przyszła do nas do Zwierzyńca moja starsza siostra Marianna. Nie wiedziała gdzie jest Edward z żoną ani co dzieje się z Krystianem, naszym bratem który był partyzantem. W Józefowie ciągle trwały walki z Niemcami. Dzięki temu, że starszy brat wcześniej przysłał nam zapas mąki, mogliśmy się ze stryjenką utrzymać. Chodziłam ze stryjenką z mąką do wsi i wymienialiśmy mąkę na mleko, ziemniaki, ser i jaja. Stryjenka miała kury ale nie miała ich czym karmić. Umówiła się ze znajomym, który pilnował magazynu ze zbożem, że za mąkę da nam ziarno. Przychodziłam z młodszą siostrą pod magazyn, kiedy magazynier był sam. On odsuwał deskę, siostra trzymała woreczek a ja kubeczkami nabierałam ziarno. Wszyscy byliśmy z tej wymiany zadowoleni. Kiedyś wybrałyśmy się do lasu na jagody. Uzbierałyśmy ze stryjenką całe wiaderko jagód. Byłyśmy bardzo zmęczone. Gdy wyszłyśmy z lasu, nadszedł samochód z Niemcami. Jeden z Niemców wyskoczył z samochodu i zabrał nam wiaderko z jagodami a my przerażone czekałyśmy na strzały, ale Niemcy odjechali.

W sierpniu 1943 roku postanowiłam, że wracamy do domu, do Józefowa. Znajomy chłopiec ze Zwierzyńca zgodził się zawieźć nas furmanką. Mieszkanie nadal było puste. W naszym ogrodzie rosły kartofle i jarzynki. Ugotowałyśmy jakąś zupę, nakarmiłyśmy chłopca i chłopiec odjechał do Zwierzyńca a my zostałyśmy same w domu. Za kilka dni wrócił Edward z bratową. Ukrywali się przed Niemcami w polu. Znowu zaczęliśmy organizować sobie życie.

Partyzanci mieli swoje placówki, magazyny, szpitale, intendentów i inne potrzebne służby. Brat dalej piekł chleb na kartki i dla partyzantów. Pamiętam, że po chleb dla partyzantów przyjeżdżał bardzo wesoly partyzant „Zagłoba” z długimi wąsami.

Podczas jednej z akcji na posterunek niemiecki, mój młodszy brat Krystian został rozpoznany przez szkolnego kolegę gestapowca i jako „spalony” nie mógł już przebywać w domu. Do domu wpadał tylko w nocy. Zawsze miał dla mnie jakieś zadanie do wykonania.

Najpierw nosiłam meldunki do pp. Galińskich, do nadleśnictwa. Pani Galińska była nauczycielką w Józefowie, a Pan Galiński był sekretarzem w nadleśnictwie. Mieli dwóch synów i dwie córki. Starszy syn Zdzych był kolegą naszego brata Krystiana i też był w partyzantce. Ja z jego młodszym bratem Kazikiem woziliśmy bryczką najpierw meldunki a później jakieś pakunki na Majdan Nepryski do wskazanych domów. Niemcy w nadleśnictwie na da-

chu założyli wieżę obserwacyjną i obsadzili ją Ukraińcami – Czarnymi. Byli oni groźniejsi od Niemców. Przestaliśmy jeździć bryczką, tylko ja już sama przez pola chodziłam z przesyłkami. Często była to broń krótka, naboje, granaty i bielizna. Brat Krystian nie tylko przychodził sam ale często przyprawdzał chłopców, ochotników do partyzantki. Trzeba było ich nakarmić i rano doprowadzić na wskazane miejsca. Byłam wtedy przewodnikiem ponieważ znałam teren i ludzi zamieszkałych na nim. Kiedyś słyszałam jak bracia moi mówili, żeby mnie wyśłać na placówkę partyzancką. Nie wiem po co i z czym ale byłam bardzo dumna. Po dłuższych rozważaniach zrezygnowano z tego pomysłu. Widocznie sprawa była bardzo niebezpieczna.

Przyszedł rok 1944. Miałam już 12 lat. Powiększyła się nam rodzina. Żona brata Edwarda urodziła syna. Była zima. Dziecko miało dwa dni. Edward musiał jechać na placówkę aby prowadzić ćwiczenia z młodymi partyzantami. Dojeżdżając do ostatnich domów zauważył jak Niemcy szeroką tyralierą podchodzą do Józefowa. Wszyscy byli w białych płaszczach i hełmach i nie było ich z daleka widać na śniegu. Brat szybko zawrócił sanie, podjechał pod dom i polecił nam ubrać bratową i zaprowadzić z dzieckiem do znajomej volksdeutschki a my miałyśmy zostać w domu. Sam pobiegł do znajomego p. Puźniaka, u którego był przygotowany schron. Zaprowadziłam bratową z dzieckiem do znajomej i szybko wróciłam do domu. Po chwili weszli żołnierze niemieccy i zapytali po polsku: „Gdzie jest brat?” Powiedziałam, że pojechał do Biłgoraja do jakiegoś urzędu. Chyba mi uwierzyli, bo nie pytali o nic więcej, zabrali cukier ze stojącej na stole cukiernicy i wyszli. Dziwiliśmy się, że Niemcy i znają polski język oraz skąd wiedzieli, że mamy brata? Wojsko niemieckie zakwaterowało się w prywatnych domach ale nie prowadziło żadnej akcji. Dwóch żołnierzy z sąsiedniego domu, w którym była ich kwatera, przychodziło do naszego domu robić sobie śniadania i kolacje. Najczęściej była to jajecznicza na bekonie, kawa prawdziwa z mlekiem i chleb z masłem. Zapalałam ogień w piecu kuchennym i wychodziłam do pokoju. Bałam się o siebie i młodszą siostrę Lucynę. Wieczorem, gdy żołnierze poszli na kwaterę, przystawiałyśmy stół do okna i ubrane w płaszcze na wypadek ucieczki, czuwałyśmy do rana. Któregoś dnia żołnierze przynieśli ze sobą oprócz stałych artykułów spożywczych również hełmy, które suszyli nad ogniem. Hełmy robiły się białe. Dla nas był to znak, że wybierają się gdzieś na akcję. I rzeczywiście zamaskowani w białe hełmy i białe peleryny odeszli z Józefowa. Zima była bardzo mroźna i śnieżna. Był poniedziałek. Zaraz po wyjściu Niemców z Józefowa poszliśmy po bratową i dziecko i wróciliśmy do domu. Po pewnym czasie

wrócił starszy brat Edward, który schował się w schronie pana Puźniaka. Brat z bratową zdecydowali, żeby jak najszybciej ochrzcić dziecko. Następnego dnia to był wtorek przed środą popielcową. Trzeba było spieszyć się przed postem. Dzięki temu, że Niemcy wyszli z miasta, nie prowadząc żadnej akcji, z lasu wrócił młodszy brat Krystian „Hel” z kolegą partyzantem „Spadochronem”. Chrzcziny odbyły się we wtorek przy partyzanckich przyśpiewkach i popisowych wystrzałach z rewolwerów. „Spadochron” powiedział, że dziecko będzie żołnierzem. Przepowiednia się spełniła, bo dzisiaj w 2012 roku urodzone wówczas dziecko jest już emerytowanym pułkownikiem.

Najtragiczniejszy okazał się rok 1944. Niemcy przygotowali poważną akcję celem stłumienia zgrupowań partyzanckich w lasach sąsiadujących z Józefowem. Wywiad partyzancki wiedział o tym i przygotowywał się do obrony. Niemcy sprowadzili ogromną ilość wojska, artylerii i lotnictwa. Partyzanci zlokalizowani byli w Puszczy Solskiej. Wśród ludności nastąpił ogromny niepokój. „Co teraz będzie z nami”. Edward został w domu, bo musiał piec chleb na kartki i po kryjomu również dla partyzantów. Widziałam jak wspólnie z kolegą Leonem Gontarzem przygotowali sobie schronienie w spółdzielczym magazynie z solą. Ucierali tytoń na proszek i obsypali nim miejsce skrytki co miało odstraszyć psy. Zgromadzili żywność, wodę i inne potrzebne przedmioty. W dniu, kiedy wiadomo było kiedy Niemcy zaczynają akcję, brat wydał mi polecenie, aby zaprowadzić bratową z cztero miesięcznym dzieckiem do znajomej volksdeutschki. Po powrocie miałam zabrać siostrę Lucynę i iść do sąsiadów starsuszków. Starsza siostra miała zostać w domu. Brat Edward z kolegą poszli się schować do przygotowanego schronu. Do Józefowa Niemcy weszli około południa i wszystkich mieszkańców, którzy zostali w Józefowie bez względu na wiek wyprowadzili na plac otaczający kościół. Mnie, młodszą siostrę i starsuszków też zaprowadzili pod kościół. Spotkaliśmy tam naszą siostrę Mariannę, która została wyprowadzona z domu. Na placu płakały kobiety i dzieci. Gdy plac zapętnił się mieszkańcami, podjechały samochody ciężarowe i żołnierze zaczęli wyprowadzać ludzi do samochodów. Siostra Marianna poleciła mi abym spróbowała się wydostać na zewnątrz boczną furtką i pobiec do znajomej volksdeutschki, żeby przysłała ją ratować.

Sytuacja była beznadziejna. Ja postanowiłam próbować. Wzięłam młodszą siostrę za rękę i poszłam do furtki. Ku memu zdziwieniu Niemiec przepuścił nas przez furtkę. Pobiegłyśmy do znajomej i powiedziałam jej, że Niemcy ludzi wywożą a tam jest moja siostra Marianna i trzeba ją ratować. Nam kazała zostać w jej mieszkaniu, zabrała

jakiś papiery i poszła. Po pewnym czasie wróciła z siostrą Marianną. Była wielką radość i serdeczne podziękowania. Przez okno pokoju, w którym była bratowa z dzieckiem zobaczyłyśmy, że Niemcy postawili kuchnię polową obok magazynu soli, do którego schował się mój brat Edward z kolegą. Wyszłam na ulicę żeby zobaczyć co się dzieje i usłyszałam od biegnącej kobiety, że Niemcy zabierają krowy. Ponieważ my też mieliśmy krowę, powiedziałam o tym bratowej. Bratowa kazała mi natychmiast uciekać z krową i zaprowadzić ją na Majdan Nepryski do znajomego gospodarza. Udało mi się uciec z krową z Józefowa. Zostawiłam krowę na Majdanie i wróciłam do Józefowa. Miałam w nogach 6 km biegu i byłam bardzo zmęczona. Na następny dzień poszłam do naszego domu, drzwi były otwarte, szafa i szuflady splądrowane a w ogródku powyrywana sałata i rzodkiewki. W międzyczasie Niemcy byli u znajomej volksdeutschki i zabrali moją starszą siostrę do sąsiedniego budynku, w którym mieli kwaterę, żeby im gotowała posiłki. Miała wtedy 17 lat. Kiedy jednak kazali jej czyścić buty, to uciekła i schowała się w szafie u znajomej. Przyszli Niemiec i chciał ją za to zastrzelić. Znajoma znowu zaczęła prosić i obiecywać, że ona tego więcej nie robi i siostra wróciła do pracy. W tym czasie rozpoczęły się walki Niemców z partyzantami. Zaczęły strzelać armaty na las, w którym byli partyzanci. Przyleciały samoloty i wskazywały gdzie armaty mają strzelać. Wśród tych partyzantów był mój brat Krystian Herc „Hel”. Czuliśmy, że dzieje się tam coś tragicznego.



Joanna Łabanowicz z d. Herc (Tychy, 2012 r.)

Dzisiaj, jako osiemdziesięcioletnia kobieta patrzę na lata spędzone pod okupacją hitlerowską 1939-1944 i mam żywo w pamięci nawet najdrobniejsze wydarzenia.

Wszystko co jako dziecko przeżywałam, ukształtowało moją psychikę i spojrzenie na ówczesną rzeczywistość. Dzieci na Zamojszczyźnie w czasie okupacji, były nie tylko świadkami ale i ofiarami terroru hitlerowskiego. Większość z nich nie odróżniała formacji, która ich morduje. Dla nich obojętne było czy to Policja, czy Wehrmacht, czy SS, czy Ukraińcy - Czarni, czy też Kałmucy. Oni wszyscy byli dla nich Niemcami, przed którymi trzeba uciekać i kryć się. Dzieci postrzegały wojnę i okupację przez wydarzenia i nieszczęścia, jakie spotkały ich rodziców, rodzeństwo i ich samych. Były świadkami jak Niemcy zabijali Żydów na ulicy i w ich domach. Gdy zabrakło Żydów, Niemcy zabijali Polaków i ich rodziny. Dzieci nie rozumiały dlaczego Niemcy zabierają im krowę. Wiedziały tylko, że nie będą mieć mleka. Nie rozumiały, gdy Niemcy zabierali im ziarno i mąkę. Starsze dzieci pytały, dlaczego Niemcy nie chcą aby dzieci uczyły się dalej niż tylko do IV klasy szkoły podstawowej i dlaczego palą im polskie podręczniki szkolne i aresztują ich nauczycieli, których wywożą do obozu na Majdanek. Gdy Niemcy pacyfikowali wsie, ludność wiejska uciekała całymi rodzinami do lasu, chroniąc się przed Niemcami. Rodziny najczęściej były wielodzietne i dzieci wymagały opieki. Małe dzieci nie rozumiały, dlaczego nie mają co jeść i gdzie spać. Kiedy ojcowie i bracia walczyli w partyzantce w gospodarstwie pozostawały kobiety i dzieci. Niemcy w czasie akcji pacyfikacyjnych strzelali do kobiet i dzieci, zabijając wiele z nich. Na Zamojszczyźnie w czasie okupacji dzieci musiały szybciej dojrzewać ponieważ wcześniej musiały przejmować obowiązki w gospodarstwie, zastępując ojców i braci, którzy byli w partyzantce. Te dzieci poprzez swoich ojców i braci wcześniej miały kontakt ze środowiskiem partyzanckim. Sytuacja sprawiała, że angażowały się w działalność konspiracyjną. Powierzano im obserwację terenu i ruchu wojsk niemieckich, przenoszenie meldunków, broni, amunicji i innych akcesoriów potrzebnych partyzantom. Robiły to bezpieczniej od osób dorosłych, gdyż Niemcy nie zwracali na nie tak wielkiej uwagi jak na osoby dorosłe. Dzieci nabrały przekonania, że jeżeli Niemcy nas mordują to należy z nimi walczyć. Ponieważ na otwartą walkę były za małe to co odważniejsze pomagały partyzantom tak jak umiały. Kontakty dzieci z partyzantami rodzice trzymali w bardzo wielkiej tajemnicy przed obcymi, bowiem groziło to represjami w stosunku do całych rodzin ze strony okupanta.

Dlatego też my, „dzieci z tamtych lat” jako osoby dorosłe, powinniśmy opowiadać naszym dzieciom i wnukom jak służyliśmy sprawie, której na imię było „Polska”.

POŻEGNANIE „MAŁEJ NIEZAPOMINAJKI”

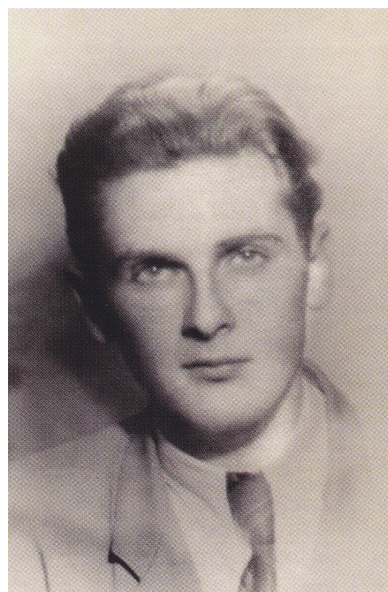


Anna Przyczynek

Dnia 5 października 2011 roku w wieku 82 lat odeszła na wieczną wartę Anna Przyczynek - Skwarczewska „Mała Niezapominajka”, żołnierz 9 pp. Leg. AK Ziemi Zamojskiej - Obwodu Zamość, więzień okresu stalinowskiego. Po nabożeństwie żałobnym w dniu 11 października 2011 roku w ko-

ściele pw. św. Karola Boromeusza w Warszawie urnę z prochami zmarłej złożono na miejscowym cmentarzu w grobie rodzinnym. Z działalnością konspiracyjną związana była już w 1940 roku, kiedy Przyczyńkowie mieszkali jeszcze w Warszawie. Jej rodzice byli aktywnymi działaczami Podziemia. Nic więc dziwnego, że ich dwunastoletnia córka z wielkim entuzjazmem zajęła się przenoszeniem konspiracyjnej prasy. W 1942 roku gestapo zainteresowało się Wiktoorem Przyczyńkiem, ojcem pani Anny. Tylko dzięki ostrzeżeniu dozorczy rodzinie udało się uniknąć aresztowania. Wiktor Przyczynek został wówczas skierowany do dalszej działalności na teren Zamojszczyzny. Jego żona nie chciała zostać w Warszawie i tak całą trójką trafili do Maziarni koło Bondyrza. Panu Wiktorowi powierzono funkcję kwatermistrza Inspektoratu Zamojskiego AK, a jego córce przypadła rola łączniczki przy kwatermistrzostwie. „Ruda Hania” śpiewali o „Małej Niezapominajce” chłopcy z lasu. Anna Przyczynek formalnie wstąpiła do AK w 1943 roku składając przysięgę przed mjr Stanisławem Prusem „Adamem”. W czerwcu 1944 r. jako piętnastoletnia dziewczyna wraz ze swoim ojcem kwatermistrem Inspektoratu Zamojskiego AK kpt. Wiktoorem Przyczyńkiem „Borem” przypadkowo trafiła do zgrupowania mjr Edwarda Markiewicza „Kaliny” w lasach Puszczy Solskiej. Po latach o tych wydarzeniach mówiła: *„To przypadek zrządził, tak chciał Bóg. U nas na Maziarni była odprawa dowódców wszystkich obwodów. Wszyscy zdążyli wyjechać tylko dowódca obwodu Hrubieszów Marian Gołębiowski „Irka” nie mając podwoły zanocewał w Maziarni. Rano krzyk Laszki woźnicy ojca, że idą Niemcy. Mieliliśmy właśnie jechać na Mszę św. na Górę Kamienną i konie były przygotowane. No*

to my z wozu i przez Wieprz do lasu tj. mama, tata i ja, a „Irka” pobiegł przez mostek przy młynie Pietrasów i tam na tym mostku został postrzelony w kolano. W końcu znaleźliśmy się wszyscy w debrach, w lasach koło Bondyrza. W nocy ostrzelali nas Niemcy i pogubiliśmy się. Mama wycofała się nad Wieprz a ja poszłam z ludźmi z oddziału „Podkowy” w stronę Górecka. Ostatecznie trafiłam do zgrupowania mjr. Edwarda Markiewicza „Kaliny” w lasach Puszczy Solskiej. Natomiast ojciec szukał mnie i mamy, aż wreszcie dowiedział się w Górecku, że ja żyję i jestem w szpitalu za „Oknem”. Wtedy ojciec do nas dołączył”. Podczas bitwy osuchowskiej pełniła służbę sanitarną. Przebijali się w grupie z Mieczysławem Rakoczym „Mieczem”. Po nieudanej próbie wyrwania z kotła udali się w kierunku Borowca. W rejonie uroczyska Maziarze zostali schwytani przez Kałmyków i doprowadzeni do wsi Borowiec, gdzie czekało już gestapo. Annę i jej ojca poddano brutalnemu śledztwu, w czasie którego Wiktor Przyczynek „Bór” został zastrzelony na oczach córki podczas próby ucieczki. Zrozpaczona dziewczyna znalazła się w grupie więźniów pojmanych podczas akcji „Wicher II”, których pieszo pędzono do Tarnogrodu, a następnie przeniesiono do aresztu gestapo w Biłgoraju. Tu w dalszym ciągu była intensywnie przesłuchiwana. Nie szczędzono jej bicia i tortur, ale widocznie potrafiła się skutecznie tłumaczyć swoim prześladowcom, bo ostatecznie uniknęła rozstrzelania i została wysłana do obozu śmierci w Majdanku. Tuż przed oswobodzeniem obozu z pomocą przekupionego strażnika wydostała się na wolność. Po zakończeniu wojny podjęła studia medyczne w Warszawie. Tam w 1951 r. za namową swojej sympatii, Tadeusza Klukowskiego wstąpiła do organizacji niepodległościowej „Kraj”.



Tadeusz Klukowski

Dnia 30 czerwca 1952 r. została aresztowana przez UB w Warszawie i poddana bestialskim przesłuchaniom. Za przynależność do tej organizacji skazano ją 11 listopada na karę śmierci. Więziona była na Koszykowej, a później na Rakowieckiej w 10 pawilonie oraz w zakładach karnych Fordon i Wronki. W dniu 11 listopada została skazana na karę śmierci i dożywocie. W lutym następnego roku Sąd Najwyższy w Warszawie zatwierdził karę śmierci, ale dzięki usilnym zabiegom matki w maju została ułaskawiona przez Bieruta. W 1958 r. w wyniku rewizji nadzwyczajnej i zamiany wyroku śmierci na 15 lat więzienia otrzymała zwolnienie warunkowe. Na wolność wyszła 28 maja 1958 roku. Do więzienia już nie

wróciła. Tadeusza również aresztowano i skazano na karę śmierci. W jego przypadku nie zastosowano prawa łaski. Wyrok wykonano 16 czerwca 1953 roku. Do dzisiaj nie wiadomo, gdzie został pochowany. W czasach PRL-u była bezustannie inwigilowana. W 1993 r. odbyła się rozprawa rehabilitacyjna, na której Anna Przyczynek uzyskała uniewinnienie. Za zasługi w walce o niepodległość Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Kaczyński odznaczył ją Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

opr. Maria Działo



Pierwsza z lewej Anna Przyczynek, dalej Tadeusz Klukowski i jego kuzynka Jadwiga Janiszowska. Lublin 1950 r. (Zdjęcia ze zbiorów prywatnych Anny Przyczynek).

POŻEGNALIŚMY UCZESTNIKA BITWY Z OSUCH

15 grudnia 2011 roku odszedł na wieczną wartę żołnierz AK por. Edwarda Błaszczaka „Groma”, uczestnik bitwy pod Osuchami Józef Osuch ps. „Wesoły”.

Urodził się 17 stycznia 1920 roku we wsi Kozaki, był synem Wawrzyńca i Marianny. Dzieciństwo i młodość spędził w Osuchach pracując u bogatych gospodarzy, później jako robotnik leśny.

Tak jak wszyscy młodzi w tym czasie zaciągnął się do powstałego w Osuchach Związku Strzeleckiego. Komentantem jego drużyny strzeleckiej był kapral Maciej Rozmyślak.

On to organizował zbiórki, na których odbywały się ćwiczenia wojskowe. Strzelanie na strzelnicy przy Tanwi organizowane było dwa razy w miesiącu. Józef Osuch jako dobry strzelec reprezentował powiat w zawodach strzeleckich w Lublinie. Po ukończeniu dwutygodniowego kursu wojskowego w Zwierzyńcu otrzymał świadectwo przysposobienia wojskowego i stał się prawnym człon-



Józef Osuch z żoną i dziećmi, Osuchy, lata 50-te XX w.

kiem Związku Strzeleckiego. Brał udział w budowie Pomnika Niepodległości przy Szkole Podstawowej, który został uroczystie odsłonięty w 1933 roku.

Już w październiku 1939 roku we wsi Osuchy działała

organizacja niepodległościowa, której dowódcą był ppor. Stanisław Makuch „Kruk” - porucznik rezerwy. Józef Osuch był jednym z pierwszych ośmiu członków ZWZ - AK. Zadaniem tej niewielkiej grupy było zbieranie broni i amunicji, która znajdowała się w lesie po rozbrojeniu Wojska Polskiego. Początkowo jako 19-latek pełnił funkcję łącznika na linii Osuchy - Borowiec - Aleksandrów. Brat Józefa Władysław zajmował się dostarczaniem do oddziału chleba wypiekane go w jego domu, co było bardzo niebezpieczne. „Wesoły” brał udział w walkach dywersyjnych i bojowych przeprowadzanych przez oddziały AK Józefów pod dowództwem „Korsarza” (Hieronima Mięca), „Groma” (Edwarda Błaszczaka) i „Wira” (Konrada Bartoszewskiego). W lutym w 1943 roku uczestniczył w akcjach dowodzonych przez ppor. Stanisława Makucha „Kruka”. Dnia 10 lutego 1943 r. z plutonem swojej placówki stoczył bój przy przysiółku Buliczówka w rejonie Krzywej Górki koło Osuch, a 23 października wziął udział w akcji rozbicia posterunku policji ukraińsko-niemieckiej w Łukowej. Dnia 30 kwietnia 1944 r. był uczestnikiem akcji na pociąg pancerny na linii kolejowej między stacjami Susiec - Nowiny. Pod koniec maja 1944 r. walczył nad Tanwią z brygadą kałmucką dra Dolla. W czerwcu 1944 r. uczestniczył w walkach zgrupowania

Dowództwo Grupy Obózów Leśnych P. W.
Zwierzyniec n. W.
(pieczęć dowództwa)
L. dz. 62
Nr ks. ewid. 420/1938 r.
Powiat biłgorajski
Obwód 9 p. p. leg.
Rejon

Zwierzyniec dnia 22.11.1938 r.
Ważne do dnia 22 czerwca 1940.

ŚWIADECTWO

O PRZYSPOSOBIENIU WOJSKOWYM II-go STOPNIA
(UKOŃCZENIA SZKOŁY STARSZYCH PRZYSPOSOBIENIA WOJSKOWEGO ogólnego (ogólnego lub specjalnego))

I. Nazwisko i imię Osuch Józef
Imię ojca Wawrzyńce imię matki Maria ur. 1920 r.
dn. 11.1. w m. Osuchy pow. Biłgoraj
przynależny do P. K. U. Zamieście

II. Wyżej wymieniony ćwiczył 2 lata w oddziałach p. w. w czasie od 1.11.1936 do 22.11.1938 (ukończył obóz (kurs) szkoły starszych p. w.) i uzyskał II-gi stopień p. w. z wynikiem pomyślnym.
Ogólna ocena Dobry.

DOWÓDCA KURSU: [Podpis]
DOWÓDCA OBOZU: [Podpis]

DOWÓDCA PUŁKU: (przy którym odbywał się kurs)
Dowódca Grupy Obózów
KOMENDANT GRUPY OBOZÓW: LUCZYŃSKI ALFRED major

III. Wyżej wymienionemu przysługują ulgi i przywileje w służbie wojskowej ustalone rozporządzeniem Ministra Spraw Wojskowych.

KOMENDANT OBWODU P. W. (w którego ewidencji znajduje się wymieniony)
Pieczęć okrągła dowódcy pułku

Na podstawie złożonego z wynikiem pomyślnym egzaminu II-go stopnia p. w. — ważność świadectwa przedłuża się do dnia 193 r.

KOMENDANT OBWODU P. W.

Główna Drukarnia Wojskowa. 1937 r. — Nr 3765 — 44.000.

mjr. Edwarda Markiewicza „Kaliny” w lasach Puszczy Solskiej pod Osuchami. Z okrążenia przebił się razem z sierż. Antonim Szostakiem „Borysem”. Obławę niemiecką przetrwał w ziemnym schronie zbudowanym we wcześniejszym okresie na potrzeby placówki.

Po wojnie zaczynał jak większość mieszkańców Osuch wszystko od zera. Początkowo mieszkał u brata w domu przy drodze do Józefowa. Pracował ciężko uprawiając cudzą ziemię, której po wojnie w Osuchach było wiele. Z czasem zbudował własny dom, budynki gospodarskie. Był sprzedawcą w sklepie spożywczym w Osuchach, który znajdował się w jego domu. Przyjmował mleko od okolicznych rolników, które odstawiano do Tarnogrodu. Pracował jako woźny w Szkole Podstawowej w Osuchach odbudowanej po wojnie i oddanej do użytku w latach 60-tych XX wieku. Był właścicielem (16% wartości) drewnianego młyna, który zakupił od Andrzeja Grzyba. Przez wiele lat pełnił funkcję sołtysa wsi Osuchy.

Całe swoje powojenne życie związał z Kołem Łowieckim w Józefowie. Celne oko wyćwiczone podczas zajęć w Związku Strzeleckim służyło mu niezawodnie przez wiele lat, o czym zaświadczyć może brać łowiecka. Dopiero kiedy choroba uniemożliwiła mu poruszanie się, złożył broń i został honorowym łowcą.

Zawsze był uczestnikiem uroczystości ku czci poległych pod Osuchami. Jego podwórkę przez wiele lat było miejscem serdecznych spotkań kolegów z oddziału, zwłaszcza „Groma”, którzy co roku przyjeżdżali do Osuch na uroczystości. Spotkania te swoją obecnością zaszczycał ks. infułat Stanisław Małysiak.

Józef Osuch był człowiekiem pogodnym, pokojowo

usposobionym, łatwo nawiązywał kontakty z różnymi ludźmi. Potrafił wyjść obronną ręką z różnych opresji, które zgotowało mu życie. Zawsze zachowywał spokój. Ta postawa sprawiła, że przyjeżdżali do niego nie tylko koledzy, ale i dzieci tych kolegów, aby porozmawiać, dowiedzieć się o jego zdrowie, powspominać. Głęboką przyjaźnią zawsze darzył go brat „Groma” Stanisław Błaszczak ze Szczecina.



Spotkanie w gronie przyjaciół na podwórku u Józefa Osucha, w tle cmentarz partyzancki (Osuchy, czerwiec 2003)

Złożony długą ciężką chorobą odszedł do Pana jako ostatni uczestnik bitwy pod Osuchami z Gminy Łukowa.

T. Kozaczuk



Poczęstunek bezpośrednio po uroczystościach rocznicowych, w centrum ks. Infułat Stanisław Małysiak - żołnierz AK, z tyłu za nim gospodarz spotkania Józef Osuch (Osuchy 2002)

W ROCZNICĘ PACYFIKACJI

20 maja 2012 r. uczczeni zostali spaleni i pomordowani mieszkańcy wsi Szarajówka. Przy cmentarzu odbyły się gminne uroczystości patriotyczno-religijne. Wzięły w nich udział poczty sztandarowe szkolne, kombatanckie i strażackie, władze samorządowe, strażacy oraz miejscowa ludność.

Mszę św. odprawił Proboszcz Parafii Chmielek Ks. Marek Tworek.

Po Mszy św. z okolicznościowym programem wystąpił Zespół „Złoty Wiek” z Biłgoraja.

Na zakończenie rodziny pomordowanych oraz przybyłe delegacje złożyły pod pomnikiem kwiaty i wieńce.



SUKCES PIERWSZEJ AKCJI

Pierwsza w tym roku akcja poboru krwi odbyła się w niedzielę 3 czerwca 2012 r., przyniosła wspaniałe rezultaty. 56 dawców podzieliło się z potrzebującymi tym, co mają najcenniejsze – własną krew ratującą życie ludzkie. Zauważyliśmy, że podczas akcji pojawili się nowi krwiodawcy. To cieszy.

„Łukowscy krwiodawcy mają wielkie serca i olbrzymią wolę niesienia pomocy” - powiedział ktoś podczas akcji. To prawda. Dziękujemy bardzo. Organizatorami akcji byli: Parafia Łukowa i łukowski Klub HDK.



STRAŻ ŁUKOWSKA NIE DO POKONANIA

Nasi druhowie strażacy przed południem 3 czerwca oddawali krew, ale odzyskali siły nadszwyczaj szybko. Po południu w Babicach, gdzie odbywały się tegoroczne Zawody Sportowo – Pożarnicze dla 27 Jednostek OSP z Gmin: Aleksandrów, Józefów, Łukowa, Obsza oraz Tereźpol pokazali na co ich stać. Punktacja Gminy Łukowa w zawodach przedstawiała się następująco: OSP Chmielek – 92,3, OSP Łukowa – 92,3, OSP Pisklaki – 92,4, OSP Osuchy- 103,1.

Jednostki OSP Chmielek i OSP Łukowa zdobyły drugie miejsce, Pisklaki wywalczyły miejsce trzecie.

Gratulacje należą się druhom OSP Łukowa biorącym udział w sztafecie. Uzyskali oni najwyższy wynik tj. czas poniżej 60 sekund – 59,8.

Brawo!



ŁUKOWIANKI ZAŚPIEWAJĄ W KAZIMIERZU

Panie z Zespołu Śpiewaczego z Łukowej I pokonały ponad 30 najlepszych zespołów z całego naszego województwa podczas eliminacji wojewódzkich, które odbyły się 3 czerwca 2012 r. w Muzeum Wsi Lubelskiej. Jako zwyciężczynie tego przeglądu wezmą udział w tegorocznym Ogólnopolskim Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu. Panie już trzykrotnie zdobyły najwyższą nagrodę kazimierskiego festiwalu. Życzymy kolejnego sukcesu.

Red.



KRZYŻ PAMIĄTKOWY DLA UCZNIÓW Z ŁUKOWEJ

21 maja 2012 r. odbyła się w Łukowej uroczystość rocznicowa Nadania Szkole Imienia Jana Pawła II. Wielkim zaszczytem dla nas było otrzymanie w tym dniu Krzyża Pamiątkowego „Zwycięzcom 1945 r.” Dekoracji sztandaru szkoły dokonał Prezes Zarządu Okręgowego Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych w Zamościu ppor. w st. spocz. Władysław Bednarczyk.

Praca naszych dzieci została zauważona i doceniona przez społeczeństwo naszej gminy. Za starania i wystąpienie z wnioskiem o nadanie odznaczenia dziękujemy łukowskim kombatantom. Młodzież szkolna, uczniowie wraz z nauczycielami ze Szkoły Podstawowej im. Jana Pawła II w Łukowej od samego początku istnienia placówki sprawują opiekę nad grobami żołnierzy poległych podczas walk z okupantem niemieckim w czasie II wojny światowej. Młodzież z opiekunami regularnie odwiedza parafialny cmentarz, gdzie złożone są ciała polskich żołnierzy (104 groby) poległych w czasie bitwy obronnej pod Podsośniną w 1939 r. Sprzątamy groby, palimy znicze składamy kwiaty na pomniku upamiętniającym historię i honor poległych polskich żołnierzy „Września”. Co najważniejsze otaczamy modlitwą ludzi, którzy walczyli o niepodległość naszej ziemi.

W. Stański



GIMNAZJALIŚCI POTRAFIĄ LICZYĆ

Gimnazjum im. P. Adamca może pochwalić się sukcesami matematycznymi. Uczennice Małyszek Magdalena i Matysiak Sylwia uzyskały tytuł laureata w konkursie matematycznym „Zagimak” organizowanym przez LSCDN w Zamościu pod patronatem UMCS w Lublinie oraz międzynarodowym konkursie „Kangur”. W naszym gimnazjum już po raz 11 odbył się międzygimnazjalny konkurs matematyczno-fizyczno-chemiczny. W konkursie wzięło udział 7 drużyn: z Aleksandrowa, Biłgoraja, Księżpola, Turobina, Majdanu Starego. Nauczyciele przyjeżdżający na konkurs przywozili zadania, z których utworzyliśmy bank zadań. Pierwsze miejsce

zajęła drużyna z Łukowej w składzie: Pluskwa Rafał, Niedzielski Arek, Kuceł Wojtek. Drugie miejsce zdobyła drużyna z Księżpola, a trzecie z Aleksandrowa. Nagrody książkowe ufundowali: Wójt Gminy Łukowa Stanisław Kozyra, Dyrektor Gimnazjum w Łukowej Małgorzata Kraczek i Rada Rodziców. Uczniowie zostali poczęstowani napojami i słodyczami ufundowanymi przez sklepik szkolny. Podczas przerwy mieli okazję obejrzyć prace naszych gimnazjalistów wykonane na szkolny konkurs fizyk konstruktor.

Anna Duńko

10 LAT ZMAGAŃ REPREZENTACJI DZIEWCZĄT GIMNAZJUM IM. PAWŁA ADAMCA W ŁUKOWEJ NA FUTBOLOWYCH ARENACH

Euro 2012. Wielkie piłkarskie święto odbywa się w Polsce i na Ukrainie. Piłka nożna w ogólnej świadomości postrzegana jest jako sport typowo męski. Jednakże ostatnie lata to coraz szersza popularność tej dyscypliny sportu wśród kobiet.

Coraz większe zainteresowanie piłką nożną przejawiają już najmłodsze dziewczęta. Rok 2003 jest pod pewnym względem rokiem przełomowym. Po raz pierwszy do kalendarza szkolnych rozgrywek Gimnazjady wprowadzone zostaje współzawodnictwo dziewcząt w tej dyscyplinie. Uczennice Gimnazjum im. Pawła Adamca w Łukowej uczestniczą w tych rozgrywkach od samego początku odnosząc niemałe sukcesy. W ciągu tych dziesięciu lat brały udział także w wielu innych turniejach piłkarskich. Poniżej przedstawione zostały dokonania drużyny jak też indywidualne wyróżnienia.

Gimnazjada (10 edycji w latach 2003-2012)

Etap międzygminny – (2003, 2007, 2008, 2010, 2011, 2012);

I miejsce – 2003 – 2012;

Etap powiatowy – I miejsce (siedmiokrotne mistrzostwo powiatu): 2003, 2004, 2006, 2007, 2008, 2009, 2010);

II miejsce (trzykrotne wicemistrzostwo powiatu): 2005, 2011, 2012)

Etap rejonowy – I miejsce – 2008, 2010;

II miejsce – 2009; III miejsce – 2003, 2007

IV miejsce – 2004, 2006;

Finał wojewódzki – IV miejsce – 2008,

III miejsce – 2010.

Halowy Turniej Piłki Nożnej o Puchar Dyr. Gimnazjum w Łukowej (4 edycje)

I miejsce – 2003; 2004 - (Justyna Kaziuk – najsukuteczniejsza zawodniczka); 2005;

2006 - (Dominika Kowalik – najsukuteczniejsza zawodniczka, Karolina Pokarowska – najlepsza zawodniczka).

Mikołajkowy Turniej Piłki Nożnej o Puchar Dyr. ZS-BiO w Biłgoraju (4 edycje)

I miejsce – 2005- (Karolina Pokarowska – najlepsza zawodniczka); 2008 - (Ewa Koman – najsukuteczniejsza zawodniczka, Agata Bielańska – najlepsza bramkarka)

III miejsce – 2006; 2007 - (Agata Bielańska – najlepsza bramkarka).

Halowy Turniej Piłki Nożnej o „Puchar Orła”

(Stary Zamość – 5 edycji)

II miejsce – 2009 - (Ewa Koman – najlepsza zawodniczka); 2012 - (Anita Mach - najlepsza bramkarka;

V miejsce – 2010;

VI miejsce – 2008;

VII miejsce – 2011.

Halowy Turniej Piłki Nożnej o Puchar Dyr. Zespołu Szkół w Krzemieniu (4 edycje)

I miejsce – 2008 - (Aleksandra Piskorska - najlepsza zawodniczka); II miejsce – 2010; III miejsce – 2011; IV miejsce – 2012.

Turniej Piłki Nożnej o Puchar Starosty Zamojskiego Zwierzyniec 2011- II miejsce.

Mistrzostwa Województwa Lubelskiego LZS i Szkół Gimnazjalnych w Halowej Piłce Nożnej „Piłkarska Kadra Czeka”

Nałęczów 2011 - II miejsce - (Kinga Pluskwa – najsukuteczniejsza zawodniczka, Klaudia Panas – najlepsza bramkarka);

Ludwin 2012 - IV miejsce.

Turniej Piłkarski Coca Cola Cup (3 edycje)

2010 – I runda – III miejsce

2011 – I runda – I miejsce; II runda – I miejsce; finał wojewódzki - IX miejsce;

2012 – I runda – I miejsce; II runda - II miejsce.

Łącznie dziewczęta brały udział w 51 turniejach (w tym 5 razy w finałach wojewódzkich) 25 razy zwyciężając, 10 razy zajmując drugie, 7 razy trzecie, 5 razy czwarte miejsce. Czterokrotnie zajmowały dalsze lokaty.

Rozegrały 144 mecze odnosząc 85 zwycięstw, 23 razy remisując i przegrywając 36 spotkań. W 5 przypadkach o zwycięstwie decydowały rzuty karne. Trzykrotnie z tej próby wychodziły zwycięsko. Zdobyły 279, a straciły 114 bramek.

Łukowianki w ciągu tych 10 lat stawały naprzeciwko reprezentacjom 49(!) gimnazjów. Świadczy to o tym, jak wielką popularnością cieszy się piłka nożna wśród dziewcząt. Dla zobrazowania warto przytoczyć pełną listę rywalek. Są wśród nich zespoły z dużych miast jak i małych wsi, sąsiadki „zza miedzy” jak i z zupełnie nam nieznanymi miejscowościami: Aleksandrów, Anopol, Biłgoraj G. nr 2, Biłgoraj G. Powiatowe nr 2, Biłgoraj G. nr 1, Bełżyce, Bukowa, Bychawa, Chełm, Dąbrowica, Dereźnia, Dorohusk, Dzwola, Frampol, Garbów, Hedwizyn, Janów Lubelski, Jarosławiec, Józefów, Kłoczew, Kocudza, Korytków Duży, Komarów, Krasnobród, Kraśnik G. Nr 1, Krzemień, Lublin G. nr 5, Ludwin, Łaszczów, Majdan Nepryski, Majdan Stary, Niedzwica Duża, Obsza, Potok Stany, Potok Wielki, Sitno, Skierbieszów, Sławatycze, Stary Zamość, Susiec, Szastarka, Średnie Duże,

Tarnogród, Tomaszów Lubelski G. nr 2, Wilków, Wólka Gościeradowska, Wysokie, Zamość G. nr 2, Zamość G. nr 3.

Pojawiały się lzy i smutek, bo mecz przegrany, choć sukces był na wyciągnięcie ręki. Była i wielka radość gdy przeciwnik bardzo mocny, ale mecz zakończony zwycięstwem. Takie chwile najbardziej zapadają w pamięci. Chociażby w Strzyżewicach w 2010 r.: Ostatni mecz rozgrywek, do awansu potrzebne jest dwubramkowe zwycięstwo. Po pierwszej połowie prowadzenie, w drugiej rywalki doprowadzają do remisu. I znów trzeba strzelić dwie bramki... A czasu coraz mniej... Ale udaje się na niespełna minutę przed końcem spotkania. Ogromna radość – jedziemy na finał wojewódzki Gimnazjady! Albo w Krasnobrodzie w 2011 r.: Musimy choćby jedną bramką wygrać z gospodyniami zawodów. Nic się nie układa. Już na początku tracimy bramkę, potem w drugiej połowie rzut karny przeciwko nam, na szczęście Klaudia broni. Kontratak - doprowadzamy do remisu... Potrzebna jeszcze jedna bramka... Jeeest! Niestety sędzia nie uznaje... Ale za chwilę kolejnej bramki nie mógł już nie uznać. Prowadzimy. Doliczone 3 minuty. Jakże długie minuty. Koniec. Prawdziwa huśtawka nastrojów. To jednak my weźmiemy udział w finale wojewódzkim Coca-Cola Cup.

10 lat zmagania piłkarskiej reprezentacji dziewcząt Gimnazjum im. Pawła Adamca za nami. W tym czasie szkołę reprezentowało 56 dziewcząt: **Kaziuk Justyna (kpt)**, Luchowska Paulina, Lachowska Diana, Cencora Agnieszka, Bryła Katarzyna, Kornik Katarzyna, Jeleń Ewelina, Ciepła Anna, Robak Anna, Stelmach Emilia, Lachowska Iwona, Gardyjas Justyna, Rój Karolina, **Pokarowska Karolina (kpt)**, Kowalik Dominika, Lembryk Anna, Stańska

Katarzyna, Lachowska Roksana, Hajda Sara, Błażyńska Ewelina, Wenek Joanna, Maciocha Judyta, **Pokrywka Sylwia (kpt)**, Zań Anita, Szpyt Aleksandra, Kościelska Klaudia, Lachowska Alicja, **Piskorska Aleksandra (kpt)**, Koman Ewa, Bielańska Agata, Momot Edyta, Syta Agnieszka, **Piskorska Izabela (kpt)**, Gardyjas Joanna, Ostasz Katarzyna, Hyz Klaudia, Hyz Anna, Juda Paulina, Panas Klaudia, **Przytuła Paula (kpt)**, Olszewska Ewa, Kornik Agata, Kot Ewa, Smolak Patrycja, **Pluskwa Kinga (kpt)**, Ostasz Aleksandra, Rój Paulina, Pękala Aleksandra, Mach Anita, Pawelec Karolina, Szeniak Anita, Kurowska Edyta, Pietryszak Angelika, Burda Diana, Małyшек Magdalena, Szostak Ewelina.

Wiele spośród wymienionych, w swoim czasie decydowało o obliczu zespołu, innym przypadła rola rezerwowych. Trudno tu opisać, której z nich przyznać miano najlepszej z najlepszych. Która z nich była najskuteczniejsza w ataku, a która w obronie? Która bramkarka była najlepsza? A rezerwowe? Przecież też bardzo potrzebne drużynie. Kogo wybrać do drużyny marzeń? Nie sposób ocenić. Każda z nich, gdy tylko weszła na boisko, grała o osiągnięcie jak najlepszego rezultatu, o zwycięstwo. One same najlepiej wiedzą ile serca, zdrowia w to włożyły, ile wysiłku je to kosztowało. Dzięki swym umiejętnościom, waleczności, zadziorności, nieustępliwości osiągnęły wiele sukcesów, zdobywając tym samym szacunek rywalek, ale też same były pełne szacunku dla swoich przeciwniczek. Wszystkie z dumą nosiły strój reprezentacji Gimnazjum w Łukowej. Wszystkie razem tworzą międzypokoleniową drużynę marzeń będącą znakomitą wizytówką naszej szkoły i gminy.

Miroslaw Okoń



Gimnazjada Rejonowa - Kraśnik 04.06.2003 - III miejsce



Halowy Turniej Piłki Nożnej o Puchar Dyrektora Gimnazjum - Łukowa 29.03.2006 - I miejsce



Gimnazjada Wojewódzka - Kraśnik 2008 - IV miejsce. Widać z jakim poświęceniem grały dziewczęta. Na twarzach smutek i zmęczenie. Podium było blisko



Turniej o Puchar Orła - Stary Zamość 23.02.2009 - II miejsce



Gimnazjada Rejonowa - Strzyżewice 12.05.2010 - wielka radość z awansu do finału wojewódzkiego Gimnazjady



Gimnazjada Wojewódzka - III miejsce. Pamiątkowa fotografia na tle stadionu Górnika Łęczna

Finał wojewódzki Coca-Cola Cup - Kraśnstaw 02.06.2011. Dziewczęta w strojach sponsora rozgrywek otrzymanych na własność



Mistrzostwa Województwa - Ludwin 07.03.2012 - IV miejsce



Uroczystości patriotyczno-religijne w Osuchach w latach 50-tych w czasie tzw. odwilży (drugi od prawej porucznik Edward Błaszczak „Grom”, czwarty porucznik Konrad Bartoszewski „Wir”)

Zdjęcie obok i na pierwszej stronie pochodzi ze zbiorów prywatnych Czesława Murzacza

MŁODZI ZAFASCYNOWANI HISTORIĄ

5 czerwca 2012 roku 77 uczniów z 24 szkół powiatu biłgorajskiego wzięło udział w XIII Powiatowym Konkursie o AK i BCh na Ziemi Biłgorajskiej. Konkurs odbył się w Gimnazjum w Łukowej, a jego organizatorami byli: Starostwo Powiatowe w Biłgoraju, Gminny Ośrodek Kultury w Łukowej, PTTK O/Biłgoraj, Gimnazjum im. Pawła Adamca w Łukowej.

Po napisaniu części konkursowej młodzież obejrzała prezentację multimedialną poświęconą bitwie osuchowskiej i spotkała się m. in. z p. Piotrem Bartoszewskim - synem Konrada Bartoszewskiego „Wira” i z p. Stanisławem Mazurem - żołnierzem AK.

Laureatami XIII Powiatowego Konkursu o AK i BCh na Ziemi Biłgorajskiej zostali:

W kategorii: szkoły podstawowe

I miejsce - **KONRAD DZIURA**, Szkoła Podstawowa w Korczowie - 42 punkty.

II miejsce - **MACIEJ MAJCHER**, Szkoła Podstawowa Nr 1 w Biłgoraju - 36 punktów.

III miejsce - **JAN KLIMCZAK**, Szkoła Podstawowa w Obszy - 31 punktów.

W kategorii: gimnazjum

I miejsce - **ADAM PRZYTUŁA**, Gimnazjum w Korczowie - 48 punktów.

II miejsce - **BARTŁOMIEJ KNIAŻ**, Gimnazjum w Aleksandrowie - 46 punktów.

III miejsce - **ANNA OKOŃ**, Gimnazjum Powiatowe w Biłgoraju - 45 punktów.

III miejsce - **BARTŁOMIEJ HANAS**, Gimnazjum w Korczowie - 45 punktów.

W kategorii: szkoły średnie

I miejsce - **MICHAŁ MAJCHER**, LO im. ONZ w Biłgoraju - 46 punktów.

II miejsce - **NATALIA ŁUKASIK**, LO im. ONZ w Biłgoraju - 45 punktów

III miejsce - **WOJCIECH MACH**, Katolickie LO im. Papieża Jana Pawła II w Biłgoraju - 42 pkt.

Zwycięzcy otrzymają nagrody podczas Ogólnopolskich Uroczystości 68. Rocznicy Bitwy pod Osuchami 24 czerwca 2012 r. w Osuchach.

Red.



Zdjęcie pamiątkowe uczestników konkursu

67. ROCZNICA BITWY PARTYZANCKIEJ POD OSUCHAMI, OSUCHY 26 CZERWCA 2011 R.

